

0 60 E 80 100 T 120

S D F X C V

mph

CZARNY CHEVROLET

Jarosław Nowosad

Na okładce: Collage (przód) i zdjęcie (tył) – Jarosław Nowosad

Korekta i redakcja: Agnieszka Zub, Olgerd Dziechciarz



Wydawca: Na zlecenie Galerii Literackiej przy GSW BWA w Olkusz
wydała Drukarnia Grafpress.

Skład i druk: Grafpress, 32-300 Olkusz, ul. 29 Listopada (pawilon)
tel: 32 754 32 32, www.grafpress.com.pl



Powiat Olkusi

Książka ukazała się dzięki wsparciu finansowemu
Starostwa Powiatowego w Olkusz.

Copyright by Jarosław Nowosad.
Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

ISBN 978-83-934559-6-6

Jarosław Nowosad

CZARNY CHEVROLET

/opowiadania/

Olkusz 2013

Książkę dedykuję pamięci moich Rodziców – Róży i Romana Nowosadów oraz Babci – Heleny Nowosad, wspaniałych nauczycieli, którzy jako pierwsi wprowadzili mnie w świat literatury.

Żadna z postaci występujących w zamieszczonych tu opowiadaniach nie jest wzorowana na nikim spośród mojej rodziny, ani bliskich znajomych.
autor

**'Today is made of yesterday and tomorrow'
JEFFERSON AIRPLANE**

MOJA BABCIA SALLY



Moja babcia Sally

Monice

Moja babcia Sally zawsze kroїła pomidory na denku odwróconej szklanki. Gdy moja mama besztła za to babcię, ta odpowiadała:

– Przecież szklanka jest czyściejsza od deseczki! Poza tym jest od niej wyższa, a mnie, jak wiesz, nie wolno się schylać... – oczywiście w innych sytuacjach nic sobie nie robiła z tego zakazu.

„Ta stara Sally jest czarownicą!” – mówili ludzie w miasteczku. Osobiście nie bardzo w to wierzyłem, lecz faktem pozostaje, że była z niej osoba wielce ekscentryczna. Chodziła po ulicach z ostrym makijażem – a miała ponad 70 lat, choć wyglądała na mniej – zwykle nosiła też na ramionach kolorową cygańską chustę.

Dziadka znać nie mogłem: zmarł tuż przed narodzinami swego pierworodnego, czyli mojego ojca. W miasteczku mówiono, że babcia dziadka otruła, lecz nikt jej tego nie udowodnił; w każdym razie nie wyszła już potem za mąż, natomiast kochanków miała ponoć wielu. A skłonność do ekscentryczności odziedziczyła podobno po swoim z kolei dziadku.

Ja i moja starsza o rok siostra ogromnie się z babcią lubiliśmy. Zamykaliśmy się z nią w jej pokoju na górze – mieszkała razem z nami – i słuchaliśmy bluesa na cały regulator. Babcia uwielbiała bluesa, szczególnie chicagowskiego. Czytywała nam też książki o wampirach, ale i wtedy przeważnie w tle grały cichutko bluesowe płyty.

Moja mama nie znosiła ani bluesa, ani babci. Osobiście przypuszczam, że kierowała nią po prostu zazdrość – nie mogła ścierpieć, że mój ojciec kocha nie tylko ją, ale i swoją matkę. Ta chorobliwa zaborczość

dotyczyła zresztą także mnie: widziałem nieraz, jak mama bladła, gdy tato żartował, że ja mam dwie matki, a on niestety tylko jedną. Przeżyła zresztą swój drugi w życiu zawał, kiedy dowiedziała się, że mam stałą dziewczynę, z którą – co gorsza – sypiam.

Nieprawda, nie miałem dwóch matek. Babcia była moją najlepszą kumpelką, przyjaciółką, wręcz idolem; być może nawet kochałem ją równie mocno, jak mamę – ale nigdy nie myliłem ich ze sobą, tak, jak nigdy nie myliłem z nikim mojej dziewczyny. Wróćmy jednak do babci, o niej przecież miałem opowiedzieć.

Nigdy nie zapomnę moich dwunastych urodzin – i nie dlatego, że od rodziców dostałem wodoszczelny zegarek ze stoperem, lecz właśnie dzięki babci. Powitała mnie rano słowami: „O, dziś twoje urodziny! Oto prezent od Sally!” – wyjmując z portfela i wręczając mi... najdrobniejszą monetę, jaką akurat miała. Podziękowałem zdziwiony. Nie przypominę już sobie, ile to dokładnie było centów – od tego czasu kurs dolara spadł – w każdym razie starczyło akurat na dwie gumy do żucia, po które zaraz po szkole pobiegłem do sklepu pana Johnsa. I co się okazało? W obu opakowaniach były losy! Na jeden z nich wygrałem gramofon stereofoniczny, ponoć pierwszy w miasteczku. Miał magnetyczną wkładkę, wzmacniacz 2 razy po 20 watów oraz kolumny z wysokimi i niskotonowymi głośnikami – dopiero niedawno musiałem zastąpić go czymś nowszym. Zaś drugą wygraną okazała się maszyna do pisania, na której piszę tę opowieść. Gdy z pomocą ojca i jego furgonetki przytargałem oba urządzenia do domu, babcia nie okazała najmniejszego zdziwienia. Powiedziała tylko: „To są moje prezenty urodzinowe dla ciebie”. W tym dniu i ja uwierzyłem, że babcia jest czarownicą.

Maszyna przydała mi się dopiero w czasach licealnych, gdy postanowiłem zostać pisarzem. Za to gramofon stereofoniczny już pod koniec podstawówki uczynił ze mnie bardzo ważną w klasie osobę. Ku rozpaczy mamy wszystkie prywatki musiały się odbywać u mnie.

Duszą tych imprez była niezmiennie babcia, wystrojona w swą cygańską chustę. Każdy z moich kolegów musiał obowiązkowo z babcią zatańczyć (co do dwóch czy trzech nie mam pewności, czy na tańcu się skończyło). Poza tym bawiła się czasem w disc-jockeya, zawsze natomiast opowiadała nieprzyzwoite dowcipy, gdy tylko żadne z rodziców

nie słuchało. Szybko została imprezową kumpelką wszystkich i nikt nie zastanawiał się nad tym, ile ta kumpelka ma lat – mówili do niej po prostu „Sally”.

Ale, ale! Wspomniałem o przyczynach drugiego zawału mojej mamy, więc może wyjaśnię, jak doszło do pierwszego.

Miałem piętnaście lat i był początek wakacji, gdy całą rodziną wybraliśmy się w sobotę do kina. Akurat leciał film, w którym James Bond rozbrajał bombę atomową. Agent 007 uszedł z życiem, ale mamę zabrało pogotowie. Oczywiście na czas jej pobytu w szpitalu władzę w domu przejęła babcia. Całymi przedpołudniami, zanim tato wrócił z pracy, głośno słuchaliśmy płyt. Akurat zaczynałem się interesować nieco cięższym, elektrycznym bluesem, którego i babcia natychmiast zaaprobowała. Zawsze też mogłem porozmawiać z nią o wszystkich sprawach, o których nie potrafiłbym mówić z rodzicami. Często zapraszaliśmy moich przyjaciół i razem urządzaliśmy szalone tańce. Idyllę zakończył dopiero powrót mamy. Choć, rzecz jasna, wszystkich nas ucieszyło jej wyzdrowienie, bynajmniej nie zażegnało ono konfliktu pokoleń na linii: mama – babcia. Już przekazanie władzy nie obyło się bez awantury o pustą lodówkę – ślad zakończonej nad ranem hucznej imprezy pod hasłem *Pożegnanie Letniego Karnawału*.

Jak już zaznaczyłem wcześniej, babcia miała w zwyczaju dawać niezwykle prezenty urodzinowe. Najdziwniejszy (a w każdym razie najbardziej szokujący) dostała mama, gdy chodziłem do drugiej klasy liceum. Na urodziny, które obchodziła w maju, babcia kupiła jej *Ilustrowany podręcznik życia seksualnego*. W dodatku na stronie tytułowej umieściła dedykację – proszę wybaczyć, ale cytuję dosłownie – *Na wszystko dobra jest młoda sperma – tako rzecze Sally*.

Jaki użytek zrobiła z tej rady moja mama, nie mam pojęcia. Wiem natomiast na pewno (a wraz ze mną wszyscy w miasteczku), że „ta stara Sally” przygadała sobie... dwudziestoletniego bitnika-perkusistę z Nowego Jorku. Jak tego dokonała – nie wiadomo, lecz faktem jest, iż liczne noce spędzała z nim w swoim pokoiku na górze; to znów na tydzień lub dwa znikali oboje w jego obskurnej norze w Greenwich Village.

Mało brakowało, by mama właśnie wtedy miała drugi zawał. Tym razem jednak zyskała poparcie ojca – pozostanie tajemnicą, jakich

użyła argumentów – i razem postanowili położyć temu romansowi jak najrychlejszy kres.

Tatko przez 3 (słownie: trzy) godziny chodził w tę i nazad po podwórku, aż wreszcie przypomniał sobie, że jego stary przyjaciel z lat szkolnych jest producentem muzycznym i ma w Nowym Jorku studio nagrań. Czym prędzej odwiedził go i zaprosił do klubu, w którym grał kochanek babci. Producent – stwierdziwszy u muzyka niepospolity talent – zatrudnił go jako muzyka studyjnego. Zyskawszy stałe źródło dochodów, chłopak czym prędzej zamienił izdebkę w zagrzybionej ruderze na niewielki domek za miastem i babcia, wprost wniebowzięta, planowała zamieszkać tam na dłużej. Nawet się nie domyślała szatańskiego planu moich rodziców. Otóż ów właściciel studia miał uroczą 19-letnią córkę, którą fascynowali bitnicy i jazz. Dyskretnie namówiony przez mego ojca, a przy tym oczarowany talentem i muzyczną erudycją perkusisty, producent zapoznał go ze swą latoroślą. Zaistniała znajomość tych dwojga najwidoczniej nie ograniczyła się do spraw czysto muzycznych, skoro wkrótce owa jazzfanka oświadczyła swemu ojcu, że do ślubu dojść musi. Doszło bodajże w październiku.

Byliśmy na przyjęciu. Babcia, oczywiście, starała się być najweselszą ze wszystkich – tańczyła z kim się dało, a nawet wparadowała na podest dla orkiestry i odśpiewała do mikrofonu parę standardów – ale ja wiedziałem, że to tylko dobra mina do złej gry. Wkrótce potem babcia zaczęła podupadać na zdrowiu. Nie chodziła już po mieście w cygańskiej chustce i z ostrym makijażem. Nie tańczyła bluesa (choć wciąż grały w jej pokoju płyty), ani nie uwodziła moich kolegów na imprezach. Zwykle leżała w łóżku przykryta grubą kołdrą – jak przystało na starą i chorą Sally. I chociaż nadal czytała nam, siedzącym koło niej, książki o wampirach, to widziałem, że starzeje się w oczach.

Co jej było? Właśnie to. Bardzo brutalnie uświadomiono jej, że jest stara. Tak, jakby ta 19-latką powiedziała: „To ja jestem młodą dziewczyną, ty już nie!”.

Oczywiście lekarz wezwany do chorej nie mógł o tym wszystkim wiedzieć. Wykręcał się więc, jak mógł, od konkretnej diagnozy, „na wszelki wypadek” przepisując wszystkie możliwe pigułki. Babcia zdawała się regularnie przyjmować lekarstwa i przestrzegać wszelkich

zaleceń, lecz nie widzieliśmy oznak poprawy. Wątpię zresztą, czy jej chciała – była przecież starą Sally, pozostawało jej tylko umrzeć. Kiedyś, gdy siedząc na krawędzi tapczanu próbowałem rozweselić pacjentkę opowiadaniem kawałów, powierzyła mi swój sekret:

– W boku tapczanu jest dziura – powiedziała konspiracyjnym szeptem (choć w pokoju nie było nikogo oprócz nas, a jakiegokolwiek podsłuchiwanie pod drzwiami skutecznie uniemożliwiał John Lee Hooker). – Ja do tej dziury wrzucam wszystkie pastylki, które mi przynoszą. Może i jestem starą Sally, ale chorej z siebie zrobić nie dam!

Dochowałem tajemnicy. Być może byłem lepszym kumplem niż wnukiem, ale nie wierzyłem, by lekarstwa w czymkolwiek mogły pomóc.

W końcu nastał maj. Gdy w przeddzień swych urodzin mama zmieniła pościel babci, ta odezwała się ni sład, ni zowąd:

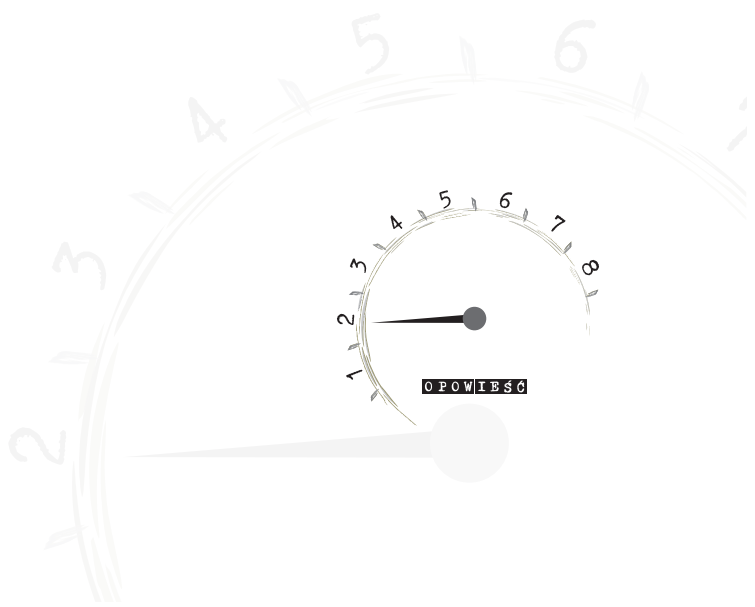
– Jutro twoje urodziny, tak? No, to stara Sally sprawi ci miłą niespodziankę!

Nie sądzę, by to było niespodzianką dla kogokolwiek z rodziny: babcia zmarła. Podobno tamten bitnik bardzo chciał być na pogrzebie, ale nie mógł, bo jego żona miała akurat rodzić. Na świat przyszła córka – słyszałem, że dał jej na imię: Sally..

Nadszedł moment otwarcia tapczanu zmarłej. Rety! Tylu pigulek naraz nie widziałem nawet wtedy, gdy kilka lat później nieostroźnie otworzyłem wersalkę siostry... A potem otwarto testament, w którym babcia rozdisponowała swój niewielki dobytek. Siostra dostała horrorystyczne książki, ja – kolekcję płyt. Babcia zostawiła mi też cygańską chustę – z poleceniem, abym dał ją swojej pierwszej kobiecie (mama aż poczerwieniała, gdy urzędnik czytał te słowa). Co do mamy, to babcia zapisała jej pożółkłą fotografię swojej babci Becky – *obrzydliwie normalnej osoby*, jak się wyraziła w testamencie. Na odwrocie zdjęcia napisała – z dedykacją dla mamy – jedno tylko zdanie: *Ludzie potrafią wszystko zepsuć*.

Nieprawda, nie wszystko. Do dziś kroję pomidory na denku odwróconej szklanki. Tak jest naprawdę wygodniej...

WYPŁAKAŁEM
SIĘ
W DZINSY J.



Wypłakałem się w dżinsy J.

pamięci Williama Blake'a

Siedziałem z gitarą na poboczu drogi, na kamiennym krawężniku. Słońce operowało, jak zwykle, przez cały dzień – dopiero pod wieczór jedno z drzew zacieniło to miejsce. Ale kamień trzymał ciepło i mogłem na nim usiąść bez narażania się na nieprzyjemne konsekwencje. Asfaltowa szosa biegła gdzieś tam na zachód, w stronę wybrzeża, gdzie bezskutecznie próbowałem dotrzeć. Przy drodze rosło trochę drzew, a poza tym trawa, trawa... Dopiero w oddali majaczyły białe zabudowania i zielone parkany – najwidoczniej jedno z miasteczek południowej Kalifornii, a może przedmieście czegoś większego. Siedziałem na krawężniku dumając, jak długo przyjdzie mi jeszcze tam siedzieć. Samochody przejeżdżały tamtędy mniej więcej raz na godzinę. W dodatku ich kierowcy najwyraźniej bali się zabrać długowłosego autostopowicza – było to akurat po historii z Mansonem.

Poprzedniego dnia poszło mi lepiej. Najpierw kawałek podrzucił mnie jeden furgon dostawczy, którego kierowca uwielbiał Grateful Dead i zabrał mnie, bo miałem koszulkę z ich nazwą. Potem zaś napatoczył się rozklekotany autobus, którym pielgrzymowała jakaś sekta. Wieźli mnie przez pół dnia i całą noc, prócz tego nakarmili i użyczyli miejsca do spania na podłodze przykrytej czymś, co zapewne kiedyś było dywanikiem. Niestety, rano skręcili na północ, zostawiając mnie tam, gdzie utkwiałem na cały następny dzień.

Miało się pod wieczór i wyglądało na to, że najbliższą noc spędzę (dosłownie) na zielonej trawce. Pogoda specjalnie nie zniechęcała mnie do tego. Postanowiłem więc zagrać sobie parę kołysanek, póki się na dobre nie ściemni i nie zacznę być senny. Wyciągnąłem zatem gitarę z płóciennego pokrowca i z lekka podstroilem struny. Spróbowałem wykonać *A Day In The Life* Beatlesów, ale coś mi nie szło, zaśpiewałem więc jeden folkowy kawałek, który zdarzyło mi się ułożyć jeszcze w liceum, a którego refren brzmiał: *I nawet Jezus nosi dzisiaj dżinsy* – taki trochę naiwny tekst. Skończyłem grać – i nagle usłyszałem, jak tuż za mną ktoś klaszcze. Obejrzałem się. Była to dziewczyna z długimi, ciemnymi włosami, ubrana w długą indyjską sukienkę – białą w pomarańczowe kwiaty. Stała oparta o drzewo i oklaskiwała mnie z uśmiechem.

– Hej, hej! Ładna piosenka! – zawołała.

– W przeciwieństwie do wykonania – odpowiedziałem wesoło. – Dawno tu jesteś?

– Spacerowałam sobie w pobliżu, aż tu słyszę jakiś wokal. Najpierw myślałam, że to John Lennon przyjechał do Stanów i zachrypnął po drodze. Ale potem ten ktoś zaczął śpiewać folk i nawet mu to wychodziło. No, to przybiegłam na koncert... – zaśmiała się w taki jedyny, niepodrabialny sposób. Miała niski, ciepły głos. – No tak, krytyk powinien podpisać swoją recenzję. Jestem Karen!

Zatem i ja się przedstawiłem, gdy siadała obok mnie na krawężniku.

– Jestem z Nowego Jorku... To znaczy tam studiuję – dodałem. – Usiłuję dostać się na Zachodnie Wybrzeże.

– To dziś nie masz szans – stwierdziła krótko. – Dziś jest niedziela. Jutro będzie większy ruch.

Zaczęliśmy rozmawiać. Jak się dowiedziałem, studiowała w Los Angeles psychologię i – jako drugi fakultet – orientalistykę. Jej ojciec był lekarzem, matka – pielęgniarką. Karen przebywała u rodziców na wakacjach i czuła się osamotniona. Jej rówieśnicy z miasteczka słuchali Beach Boys i biegali na dyskoteki, poza tym nie interesowało ich nic.

Spytała, czy mam gdzie spać. Wskazałem miejsce pod drzewem.

– A właśnie, że nie zgadłeś! – oświadczyła tryumfująco. – Będziesz spał u nas. Mieszkam w pobliżu i nie pozwolę, żeby nadzieja amerykańskiego folku nocowała w hotelu, który nie ma nawet ścian!

- U was? - propozycja zaskoczyła mnie cokolwiek, ale była kusząca, tym bardziej, że w towarzystwie Karen zaczynałem właśnie czuć się coraz lepiej. - Serio?

- A co, może powinnam się ciebie bać? - spytała ubawiona, widząc moją niepewną minę.

- A nie powinnaś?

- A pewnie! - podchwyciła z wyraźną nutą ironii. - Bo akurat taki z ciebie Manson, jak ze mnie Sharon Tate!

- Ale... mógłbym na przykład...

- ...mnie zgwałcić, tak? - wpadła mi w słowo w tonacji jak wyżej.
- To wiesz co, może nie tutaj, bo to za bardzo publiczne miejsce, ktoś mógłby przejeżdżać i nas zobaczyć...

- Hmm... Brzmi nieźle... A twoi...

- Staruszkowie? - dokończyła za mnie. - Wyjechali na promocję oficerską mojego braciszka. Beze mnie, bo jestem pacyfistką. A że po drodze mieszka ciocia, zatrzymają się u niej i wrócą dopiero za kilka dni. A poza tym - spojrzała na mnie tak więcej filuternie - chciałabym wreszcie pogadać sobie z kimś sensownym, a na takiego mi wyglądasz. Bo ci wszyscy u nas... - machnęła tylko ręką. - Nie będę się powtarzać.

Czując, że będę u Karen mile widziany - acz nadal dziwiła mnie śmiałość zaproszenia - spakowałem szybko gitarę do pokrowca, zarzuciłem na ramię szelkę starej wojskowej torby i powiedziałem: „Prowadź!”. Ruszyliśmy wydeptaną w trawie ścieżką w stronę widocznych w dali zabudowań.

Od dłuższej chwili dyskretnie przyglądałem się dziewczynie. Była ode mnie niższa o głowę. Buzię miała lekko zaokrągloną, ale mimo to dziwnie delikatną. Do tego brązowe oczy z czarnymi, azjatyckimi brwiami i usta łagodnie uśmiechnięte, całkiem jak na portrecie indyjskiej bogini. Włosy, rozczesane pośrodku w przedziałek i sięgające daleko za piersi, miała zupełnie proste, jednak dwa pasemka z samego przodu zaplotła w zabawne, cieniutkie warkoczyki. Co do piersi, to sprawiały wrażenie dość pełnych. Reszty mogłem się jedynie domyślać, gdyż Karen - tak, jak wiele dziewczyn w Kalifornii - nie nosiła paska, a jej suknia sięgała prawie do ziemi; u dołu wieńczyły ją malutkie dzwoneczki. Moja piękna przewodniczka stąpała bardzo miękko, z jakąś osobliwą uwagą stawiając

kroki w swych rzemykowych sandałach. Ja natomiast szedłem tak, jak to miałem wtedy w zwyczaju: sprężyście, jakby lekko podskakując, choć tak naprawdę nie odrywając się całkowicie od ziemi.

– Ojoj! Odlecieć się chce?! – tonem „zaniepokojonej nauczycielki” skomentowała Karen mój sposób poruszania, grożąc mi palcem, po czym roześmiała się i zaczęła nucić moją balladę. Musiała mieć fenomenalny słuch muzyczny. Potrafiła oczarować – właściwie uwodziła każdym słowem i ruchem, ale nie wiedziałem, czy robi to świadomie i po co to robi.

W końcu dotarliśmy do zabudowań. Karen wskazała na jeden z rzędu podobnych do siebie jednopiętrowych domów.

– Sąsiedzi uważają mnie za wariatkę – powiedziała, otwierając zamek w furtce. – Dzisiaj będą mieli w pobliżu dwoje wariatów. Dobry początek epidemii! Ale teraz nikogo nie ma, wszyscy są na wieczornej mszy.

Dom otoczony był przystrzyżonym równiutko trawnikiem. Weszliśmy do środka, do niedużego korytarza ze ścianami pokrytymi boazerią i z drewnianymi schodami na piętro.

– Mój pokój jest na górze... – zaczęła Karen. – Ale nie! – zreflektowała się. – Najpierw zrobię dla nas coś dojedzenia, bo ty przecież musisz być głodny!

Byłem, i to jak! Po wegetariańskich kanapkach, w które obficie zapatrzyła mnie wyjątkowo uprzejma sekta z autobusu, nie pozostały już nawet okruszki. Zaproponowałem Karen pomoc w kuchni, na co przystała bez certowania. Zatem udaliśmy się do kuchni, którą od korytarza dzieliły oszklone drzwi.

* * *

Po względnym milczeniu towarzyszącym przygotowywaniu kanapek oraz krótkim rozstaniu, w czasie którego za zgodą Karen skorzystałem z prysznicza i jeszcze jednego urządzenia w łazience po lewej stronie korytarza, wzięliśmy dwie olbrzymie tace z jedzeniem i udaliśmy się na piętro. Z trudem otwarłszy drzwi bez użycia rąk, wkroczyliśmy do pokoju Karen.

W dużym, kwadratowym pomieszczeniu z oknem na wprost drzwi nie było oczywiście krzesel ani łóżka; nie mogło ich być w pokoju kon-testującej dziewczyny z Kalifornii. Przy lewej ścianie, dokładnie pośrodku, położono spory materac przykryty narzutą haftowaną we wzorki

stylizowane na wschodnie. Na podłodze leżało ponadto mnóstwo różnej wielkości poduch, ozdobionych w tym samym stylu, oraz wełniany dywanik. Ściany jednakże nie pokrywały ani psychodeliczne malowidła i hippisowskie hasła, ani nawet plakaty zespołów rockowych, lecz wzorzyste indyjskie tkaniny, długie od podłogi aż po sufit. Dwie z nich pełniły rolę zasłon okiennych, odsuniętych teraz, reszta – swoistych, luźno wiszących tapet. Także drzwi można było zasłonić podobną kotarą, co też Karen zaraz uczyniła. Na podłodze po lewej stronie materaca pysznił się wysokiej klasy gramofon stereofoniczny z automatycznym zmieniaczem płyt. Dwie potężne kolumny głośnikowe stały w rogach koło przeciwległej ściany. A poza tym piętrzyły się tam półki bambusowych etażerek pełne książek i płyt. Usiedliśmy na materacu, tace stawiając przed sobą.

– Czego posłuchasz? – spytała Karen, podnosząc pokrywę gramofonu. – Ja mam ochotę na *Sierżanta*.

Po chwili, jedząc kanapki, pijąc herbatę i słuchając Beatlesów, utoniliśmy w rozmowie.

Jej starszy brat był kadetem w jednej z uczelni wojskowych. Wojna mu nie groziła, bo jakiś wykładowca upatrzył sobie w nim przyszłego asystenta.

– Palisz „maryškę”? – rzuciłem, gdy rozmowa zeszła na album *The Electric Prunes Mass In F-minor* i niedawno wydanych *Władców* Morrisona.

– Nie, nie! – pokręciła głową. – Próbowałam parę razy, ale to kanał. Wolę medytacje.

– Medytujesz? – spytałem niedowierzając, że znalazłem wreszcie bratnią duszę.

– Regularnie praktykuję Krijajogę. A czasami też tantrę... – uśmiechnęła się jak gdyby znacząco. Niestety, nie wiedziałem, co to jest tantra, ale przytaknąłem, by nie dać tego po sobie poznać.

– Dlaczego się kołyszysz? – spytała z kolei ona. Istotnie, miałem wtedy w zwyczaju siedząc, bujać się na boki.

– *My, wydrążeni ludzie, my, wypchani ludzie, razem się kołyszemy* – zacytowałem dla żartu.

– *Głowy wypełnia nam słoma, nie znaczą nic nasze słowa, kiedy do siebie szepczemy* – dokończyła bezbłędnie. Rany Boskie, ona znała Eliota!

Od Eliota przeszliśmy więc do Williama Blake'a, od Blake'a do Hessego, a stamtąd już prosta droga do Junga i gnozy, i z powrotem do poezji, do Rimbaud'a i Baudelaire'a... Gadaliśmy do późnej nocy, słuchając muzyki.

Byłem zauroczony Karen. Potrafiła rozmawiać o wszystkim, co tylko przyszło mi do głowy. Była czarodziejką rzucającą na talerz gramofonu albumy Jefferson Airplane, Pink Floyd, duetu Simon And Garfunkel, Dylana, Janis Joplin, Hendrixa, i Love, i Led Zeppelin, i Iron Butterfly, i Steamhammer... po prostu dlatego, że jej też się podobały. Recytowała mi wiersze Brautigana (grała kiedyś w szkolnym teatrze). Puściliśmy pierwszą płytę Doorsów i zaczęliśmy wieszać psy na Jeffersonie i Prabhupadzie. Potem Karen, przewróciwszy krążek na stronę B, wyłożyła mi swoją własną, arcyciekawą teorię na temat Kriszny (nie miejsce tu jednak, by ją cytować). I gdzieś w połowie *The End* zdałem sobie sprawę, że faktycznie koniec, że – chcący czy niechcący – dostała mnie, że trzęsę się cały, że jestem podkręcony jak na amfetaminie i że ręce przestaną mi drżeć, o ile położę je na piersiach Karen. Ale nie miałem pomysłu, co powiedzieć lub zrobić, żeby mi na to pozwoliła...

Karen wstała i przeciągnęła się na tle ciemnego okna – a może po prostu niezbyt starannie wykonała jedną z pozycji jogi...

– Zabójczo wyglądasz w tej szacie, braminko! – zażartowałem, lecz głos mi trochę drżał.

– Naprawdę? – spytała z przekorą w głosie. – Niektórzy twierdzą, że ładniej mi bez niej...

– Niestety, tu moja wiedza nie sięga – odparłem niby od niechcenia. Karen spojrzała na mnie uważnie.

– Nie martw się – rzekła z dziwną powagą. – Już niedługo. – Odwróciła się do okna i zaciągnęła zasłony. Wybrzmiewały właśnie ostatnie nuty. Karen podeszła do jednej z półek i wyciągnęła spory plik płyt – po okładkach domyśliłem się, że zawierają muzykę indyjską. Wróciwszy na materac, zaczęła umieszczać krążki, jeden po drugim, w ramce urządzenia zmieniającego. Gdy wreszcie dźwięki sitaru wypełniły pokój, dziewczyna sięgnęła za materac i wyjęła stamtąd czarny futerał, a z niego... flet. Prawdziwy, błyszczący chromem flet. Przytknąwszy go do ust, zaimprovizowała dziwaczne uzupełnienie do tego, co płynęło

z kolumn. W sumie wyszło coś tak absurdalnie psychodelicznego, że przerwała, wybuchając śmiechem.

– Moglibyśmy stworzyć niezły duet... – powiedziała zalotnie i odłożywszy instrument na miejsce, delikatnie podkreśliła głośność. Sądząc po głębi brzmienia, ten wzmacniacz musiał mieć co najmniej po 50 watów na kanał. Podniosła się, wydobyla z etażerki olbrzymie, oprawne w skórę tomisko i zasiadła z nim *vis a vis* mnie na jednej z wielu poduch.

– To jest tantra – podała mi księgę. – Otwórz na dowolnej stronie i połóż palec, gdzie chcesz.

Tom otworzył mi się mniej więcej pośrodku. Uderzyłem palcem w któryś akapit. Karen wzięła tom i przeczytała na głos coś w sanskrycie, po czym zamknęła i odłożyła tajemniczy tekst.

– Co to takiego? – spytałem szeptem.

– Scenariusz – powiedziała cicho. – Scenariusz dzisiejszej nocy...

Wstała i sięgnęła za jedną z kotar – musiała tam być wnęka zastępująca szafę. Wzięła stamtąd mosiężny lichterzyk. Zapaliła w nim świeczkę. Postawiła go na środku pokoju. Zgasiła światło, stanęła przede mną i... zdjęła sukienkę. Nie miała pod nią zupełnie nic... Nigdy nie widziałem drugiej równie pięknej dziewczyny. Podeszła do mnie – cofnąłem się na środek materaca, żeby zrobić dla niej miejsce. Instynktownie wiedziałem, co mam robić – to było jak telepatia. Karen objęła mnie i pocałowała; przez płótno koszuli czułem dotyk jej nabrzmiewających sutków i ich twardniejących brodawek.

– Ładnie pachniesz... – szepnęła miękko, zdjęła mi koszulę i zaczęła gładzić mnie delikatnie.

To pewnie, że jej pieszczoty doprowadzały innych mężczyzn do ekstazy. Nie przewidziała jednego: moich cholernych łaskotek. Od lat byłem kompletnie spięty na całym ciele, nie pomagała nawet joga, po prostu nie można było mnie dotknąć, bo zaraz czułem łaskotanie. Nie zważając ani na powagę tantry, ani na egzotyczny dźwięk sitaru, wiłem się bynajmniej nie z rozkoszy, wybuchając paroksyzmami śmiechu. Karen próbowała gdzie indziej, próbowała wszędzie – lecz tylko pogarszała sytuację.

– Boże! – jęknęła. – Czy to koszmarne sen, czy może gram w jakimś nowym filmie Formana?!

Puściła mnie, wyłączyła muzykę i zastygła w bezruchu twarzą do przeciwległej ściany.

– Poczekaj... – delikatnie dotknąłem ramienia dziewczyny. – Może potem spróbujemy...

– Zostaw! – powiedziała krótko, rozkazująco. – I lepiej wyjdź stąd, póki nie zasnę.

* * *

W tamtej chwili ja też miałem dość. Wstałem i zszedłem na dół do łazienki. Z niej udałem się do kuchni, postanawiając zrobić sobie herbatę.

Wchodząc, poczułem silny zapach gazu. Po ciemku podszedłem do kuchenki – jeden z zaworów nie był zamknięty! Natychmiast zakręciłem go i na oścież otworzyłem okno. Po chwili, gdy niebezpieczeństwo minęło, zapaliłem światło i postawiłem wodę na herbatę. Chodziłem nerwowo po kuchni, zastanawiając się, jak mogło dojść do takiego niedopatrzenia. Oczywiście! To Karen gotowała wodę... Zaparzyłem herbatę i wypięm ją bardzo powoli – w tym czasie gaz wywietrzał zupełnie, zamknąłem więc okno, zgasilem światło i wróciłem na górę, gdzie Karen spała już przykryta cienkim kocem w indiańskie wzory. Najdelikatniej jak mogłem wsunąłem się pod koc, by po chwili zasnąć.

* * *

Gdy się obudziłem, Karen, już ubrana, siedziała koło mnie wpatrzona w jakiś obrazek – fotokopię obrazu olejnego. Przedstawiał on Jezusa – na pewno Jezusa – w białej szacie, którą lekko rozchyłał na piersi. Wychodziły stamtąd dwa promienie – jeden czerwony, drugi biały.

– Zawsze patrzę na ten obraz, kiedy nie chce mi się żyć. Zwykle pomaga... – zauważyła widocznie, że już nie śpię. – Z tym obrazkiem wiąże się cała historia – dodała. – Gdzieś tam w Europie, we Włoszech czy Hiszpanii, tego dokładnie nie pamiętam, w każdym razie w jakimś kraju katolickim jedna zakonnica miała widzenie. Ukazał jej się Jezus z takimi właśnie dwoma promieniami. Opowiedziała o tym jakiemuś artyście, który namalował to, co widzisz. Jak pewnie zauważyłeś, promienie biją dokładnie z czakry serca.

Karen westchnęła ciężko, po czym dokończyła swą opowieść:

– Niedługo potem ta zakonnica zmarła. Ponoć jestem do niej podobna, co ty na to?

- Zostawiłaś wczoraj odkręcony gaz w kuchni – odrzekłem powoli.
- A okna były pozamykane. Gdyby doszedł tutaj, do zapalonej świeczki, to wiesz, co by było...?

Zbladła.

- *Auto dafe* – jęknęła. – Ten dom jest cały z drewna, tylko z zewnątrz otynkowany...

- Ale dlaczego...

- Ja tego nie chciałam! – przerwała mi. – Ja nad tym nie panuję... Wuj Max, rodzinny psychoterapeuta, nazywa to „podświadomą manią samobójczą”. Trafna diagnoza, z której nic nie wynika... Kiedyś, pod Los Angeles, przez dwie godziny siedziałam w aucie stojącym nad przepaścią, a gdy już miałam odjeżdżać, odkryłam, że nie zaciągnęłam hamulca ręcznego. Ciągłe wykręcam sobie takie numery, pewnie kiedyś mi się uda...

- Próbujesz coś z tym zrobić?

- Kiedy nie wiem, co. Wuj Max też nie wie. Nikt nie wie. Medytacja nic nie daje, hipnoza też nic. Nie da się dojść przyczyny. Ściana.

Odłożyła obrazek, machnęła ręką.

- Przed każdym z tych... podświadomych zamachów na własne życie... zawsze mam straszną depresję, chce mi się umrzeć. Wuj radził mi, abym przy takich stanach zachowywała „najdalej posuniętą ostrożność”. To oczywiście na nic: skąd mam wiedzieć, co tym razem wymyśliła ta Karen, której nie znam?

Nastawiła cicho jakiś longplay. Usłyszałem orkiestrę kameralną i organy – *Adagio g-moll* Tomaso Albiniego... Karen spacerowała wolno po pokoju, mówiąc:

- Robię wszystko, żeby nie dać sobie okazji do kolejnej próby. Ciągłe staram się być zajęta: słucham muzyki, gram, czytam, piszę, poszłam na studia psychologiczne... Myślałam, że to mi coś rozjaśni... Jestem najlepsza na wydziale, dlatego rodzinka niczego mi nie odmawia – zatoczyła ręką krąg, wskazując na swój pokój. – Wczoraj miałam nadzieję, że może teraz ty nie pozwolisz mi się zabić. No i faktycznie: nie pozwoliłeś! – ogarnął ją śmiech i śmiała się tak dłuższą chwilę.

- Wiesz co? – rzekła nagle – Za uratowanie mi życia zrobię ci śniadanie. I jeszcze duży zapas kanapek na drogę. A potem już naprawdę idź. Niedługo zaczniesz się ruszać, na pewno coś złapiesz.

* * *

Wyszedłem z jej domu nie oglądając się. Gdy zamykałem drzwi, usłyszałem za nimi ten dźwięk – nie miałem odwagi sprawdzić, ale czułem, że ona tam teraz płacze. Szybkim krokiem podążyłem w stronę szosy.

Miałem szczęście: ledwie kciuk podniosłem, a już zatrzymał się jakiś niebieski buick jadący do San Francisco. Kierowca miał ogorzałe oblicze, długie włosy i czarną brodę – jakbym już kiedyś widział tę twarz, i to bardzo niedawno! Ubrany był w dżinsowe spodnie i bluzę; wyglądał na niewiele ponad trzydzieści lat. Otworzył drzwi auta, powiedział: „Hej!”, gestem ręki zaprosił mnie na przednie siedzenie, moją torbę rzucił na tylną kanapę (gitarę potraktował delikatniej) i ostro ruszył do przodu. Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Próbując jak najwygodniej usadowić się w fotelu stwierdziłem, że w kieszeni moich spodni coś szeleści. Była to kartka z nazwą miasteczka, numerem domu, telefonu i podpisem: *Karen*. Kiedy ją tam włożyła? Pewnie wtedy, gdy spałem.

– Człowieku, ty się jej naprawdę podobałeś – powiedział nagle brodac z za kierownicy.

Nie od razu skojarzyłem, o co mu chodzi. A on mówił dalej:

– To byłaby twoja pierwsza? Nie musisz odpowiadać. Znam cię lepiej, niż ty sam. Masz dwadzieścia lat. Nie będę ci wypominał, jakie masz opóźnienie wobec średniej krajowej. Ale jak myślisz, po co ci załatwiłem to utknięcie przy drodze?

Przestraszyłem się, że facet ma źle w głowie, lub jest naćpany (choć na to nie wyglądał), i że spowoduje wypadek, albo лихо wie co. Ale on powiedział tylko: – Nie bój się, to ja – odchylając połą niedopiętej bluzy. I wtedy zobaczyłem te dwa promienie. Biegły w przeciwnych kierunkach – jeden czerwony, drugi biały – ginąc gdzieś tam za oknami. Faktycznie, widziałem już tę twarz – bardzo niedawno!

– Zaraz, zaraz! – powiedziałem nieco skołowany, gdy minął pierwszy szok. – Czegoś tu nie rozumiem.

– Rozumiesz – odparł krótko, a mnie znienacka zachciało się płakać. Uświadomiłem sobie, dlaczego z Karen mi nie wyszło.

– Jak to?! – spytałem na nutę dziecinno-oskarżycielską. – I ty mi to wszystko mówisz?! Ty, który dałeś...

– Szóste przykazanie, tak? – wpadł mi w słowo. – Ludzie strzelają do siebie, zrzucają jedni na drugich napalm... Kobiety mordują własne dzieci... Co dzień kradzieże, rozboje, obmowy, wzajemne podgryzanie... I ja miałbym noc spędzoną wspólnie przez chłopaka i dziewczynę postawić na równi z tym wszystkim? Masz mnie za potwora, czy za psychopatę?!

Zatrzymał wóz – jechaliśmy akurat przez pustą, niezabudowaną przestrzeń – zaparkował na poboczu i przygarnął mnie do siebie, jak się przygarnia skrzywdzone dziecko. A wtedy ja, facet, wypłakałem się w dżinsy drugiego faceta. Całe szczęście, że nikt tego nie widział! Bo ja to głupstwo, i tak wielu brało wtedy każdego długowłosego za pedała, ale co by sobie o Nim pomyśleli?!

– No, dobra – rzekł w końcu. – Powtórzyłem to przykazanie. Skąd mogłem wiedzieć, że ktoś aż tak się nim przejmie?! Chciałem, żeby ludzie nie przeginali, nie szli do łóżka z kim popadnie. Mój ojciec ciągle mi powtarzał: „Synu, zawsze domagaj się więcej, niż chcesz dostać”. Ale mnie nie uprzedził, że mogę dostać więcej niż chcę.

– Nie, czekaj! – zreflektowałem się. – Przecież ja o tym dotychczas nigdy nie...

– Owszem, myślałeś! Cały czas – powiedział nie czekając, aż skończę. Spojrzałem na niego zdziwiony.

– Podświadomie, kochasiu, podświadomie! – mówił tonem zawodowego psychiatry. – Dlatego żadna nie mogła cię mieć. Dobrze, że choć teraz to zrozumiałeś! U innych siedzi to jeszcze głębiej. Dlatego najpierw robią to, na co mają ochotę, potem wszystko, co się da, a w końcu ich podświadomość dochodzi do wniosku, że za karę trzeba się zabić na motocyklu! – Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył. Usłyszałem, jak ze złością mruczy pod nosem: – Następna artystka! Raz mi już umarła na gruźlicę. Codziennie mógłbym do niej chodzić, potem jeszcze wskrzesić ją z martwych, nic by jej nie pomogło! I teraz znowu...

– O kim mówisz? – spytałem z ciekawości.

– Co cię to obchodzi? Nie o tobie. Choć ty też jesteś udany! Zgrywasz kontestatora na luzie, a w głębi duszy masz stracha, że jak się przepisz z kobietą, to mój ojciec wyśle cię do Wietnamu. Albo, co gorsza, ukradną ci gramofon i wszystkie płyty! – zachichotał. – Otóż mogę cię zapewnić, że nic takiego się nie stanie.

Nagle przypomniałem sobie coś. Rety! Czyżby On o tym zapomniał?!

– Chwileczkę! – rzekłem z tryumfem w głosie. – Gdybym wtedy z nią zasnął, to nie zszedłbym do kuchni...

– ...I nie wyłączył piecyka – dokończył wielce ubawiony – i nie uratował życia jej i sobie? To co, myślisz, że nie potrafiłbym załatwić małej awarii i przerwać dopływu gazu? – Westchnął, po czym znowu spoważniał. – Przekonałem się już dawno temu, że kogoś takiego jak ona nie wolno zostawiać bez opieki. Choć wolałbym, żeby nareszcie ktoś mnie trochę wyręczył.

Złość mu najwyraźniej minęła. Zaczął mówić bardzo łagodnie:

– Myślicie, że ufanie mi polega na czekaniu, aż was pobiją, ograbią i ukrzyżują? Kto wam nagadał takich bzdur?! Ja naprawdę chcę, żeby ci dobrze szło we wszystkim. Także z dziewczynami. Zwłaszcza, że wbrew obowiązującej modzie sam seks ci nie wystarczy...

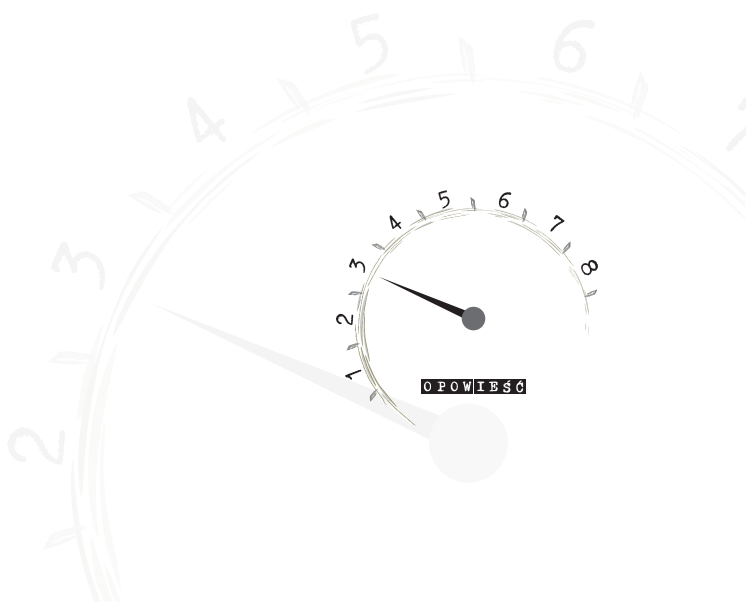
Tak, rozumiałem już wszystko; więcej niż mogłem wyrazić słowami. Obnażył mnie, przejrzał na wylot, wyrzucił na lewą stronę, ale to nie bolało. Było raczej tak, jakby ustąpił ból, do którego zdążyłem już przywyknąć.

– Słuchaj – zacząłem chytrze – ty zawsze masz tak dużo czasu... Nie podwiózłbyś mnie...

– Z powrotem, tak? Jeszcze czego! – parsknął ironicznie. – Sam narzyłeś tego piwa, nie trzeba było uciekać od dziewczyny! Wysadzę cię na najbliższej stacji benzynowej i siedz sobie tam, aż złapiesz jakąś okazję w drugą stronę. Co będzie trudne o tej porze.

I tak się też stało. A następną noc spędziłem z dziewczyną. Tak, z Karen. Znalazła mnie na tej stacji, na której On mnie wysadził...

CZARNY CHEVROLET



Czarny chevrolet

Jak się zaczęło moje podwójne życie?

Była jesień 1970 roku. Gdy dowlokłem się autostopem do naszego domu w Duncan, ojciec był w pracy. Mama najpierw długo mnie ścisnęła, a potem... nagle przypomniała sobie o czymś.

- Słuchaj, jest do ciebie jakieś pismo z Oklahoma City, wygląda na urzędowe. Gdybym nie znała twojej sytuacji, myślałabym, że wojsko...

- Dawaj! - przerwałem. - To w sprawie pracy.

Rozerwałem kopertę. Nie czytałem głośno - mój wzrok biegał po kartce formatu listowego pokrytej pismem maszynowym. *Wzywa się...* - tu moje imię i nazwisko - *...do wykonania... O godzinie dziewiętej rano, dnia...*

- To już jutro! - zawołałem.

- Co jutro?

- Jutro muszę tam być. Mama, o której odchodzi nocny autobus do...

- Ależ! - przerwała mi, uśmiechając się szeroko. - Przecież teraz możesz już wziąć Powerglide'a... - Zdjęła z wieszaka kluczyki i wcisnęła mi je w dłoń. - Ale najpierw oczywiście zjesz obiad i posiedzisz trochę ze mną. *A'propos*, kiedy się ostrzyżesz?

Czarny chevrolet Powerglide przez kilkanaście lat pełnił rolę naszego rodzinnego samochodu. Dopiero w lipcu '69 ojciec, ponaglony przez mamę, kupił sobie całkiem nowego chevroleta (zresztą też czarnego). Na złomowanie Powerglide'a nie chciał się jednak zgodzić (bo też piękny to był wóz), w końcu więc mama zadecydowała, że dostanę go ja, gdy tylko znajdę sobie stałe zajęcie.

Myślicie, że przy obiedzie nie spytała mnie, na czym ma polegać moja praca? Nie byłaby moją mamą, gdyby jej to nie ciekawiło. Skłamałem, że mam być terenowym reporterem wysyłanym na koncerty rockowe. Cieszyła się, że będę pisał o tym, co mnie interesuje, i machnęła ręką nawet na to, iż nie zetnę włosów.

Nim skończyłem odgrzany obiad, zaczęło zmierzchać. Pomyślałem, że najwyższy czas ruszyć w drogę – chciałem dotrzeć na miejsce jak najszybciej, by rano być wypoczętym (z wezwania wyczytałem, że mój pracodawca płaci za hotel). Co prawda miałem nadzieję, że przed wyjazdem zdążę jeszcze pogadać z ojcem, ale nic z tego: był na spotkaniu Rady Szkoły, a takie lubią się ciągnąć do późna. Spakowałem do walizki garnitur, koszulę, krawat, buty i skarpetki pod ich kolor; mama oczywiście nie omieszkła dorzucić kilku zmian bielizny.

Wyprowadziłem Powerglide'a z garażu. Było już ciemno. Zgasilem światło na ganku i patrzyłem, jak w obłych kształtach karoserii odbijają się gwiazdy, jak lśni chromem atrapa chłodnicy... Wiedziałem, że go nie przemaluje, co zrobiłby może ktoś inny na moim miejscu – żywsze kolory odebrałyby mojej maszynie całe dostojenie. Pożegnałem mamę i ruszyłem.

Dziś już mało kto pamięta chevroleta Powerglide. Był to przestronny samochód z bardzo szerokimi siedzeniami i tak miękko zawieszony, że jadąc nim, prawie nie czułeś drogi. Przyjemnie się go prowadziło: był jak wielkie, łagodne zwierzę posłuszne najmniejszemu drgnięciu kierownicy. Przekładnia *powerglide*, od której wziął swe imię, rozpędzała go, jak na dzisiejsze standardy, dość powoli, za to jakże płynnie! To również mi odpowiadało: miał swoją godność, nie dawał się szarpać, jak te europejskie wozy sportowe.

Włączyłem klimatyzację na grzanie – noc była chłodna. Gdzieś tam w ciemności po obu stronach szosy rozciągały się pola pszenicy, a właściwie już tylko ścierniska.

W Europie miejscowości leżą tak blisko siebie, że gdzie by niejechać, prawie cały czas jest się w którejś z nich. Ale w środku USA, jak choćby w mojej rodzinnej Oklahomie, nocna jazda autem to niemal podróż kosmiczna! Za nami pozostaje jedno duże skupisko światła, w mroku przypominających gwiazdy, i jedziemy poprzez ciemność,

aż w oddali pojawi się nowe zbiorowisko światła – inna galaktyka, w stronę której zmierzamy.

Poszukałem w radiu jakiejś muzyki dla siebie. Przypadkowo złapałem lokalną stację w Bethany – pewnie zaraz zmieniłbym kanał, gdyby nie kilka charakterystycznych dźwięków gitary... Obudzony w nocy rozpoznałbym ten wstęp, w sześćdziesiątym szóstym słysząc go było wszędzie. Początek *California Dreamin' The Mamas And The Papas. All the leaves are brown, and the sky is gray...* Przyznaję, nie był to specjalnie ambitny utwór; tym niemniej lubiłem go. Mówił o mojej ukochanej Kalifornii, a dokładniej o tęsknocie za nią. Poza tym pomysłowy dwugłos wokalny i uroczą solówkę fletu czyniły piosenkę wyjątkowo miłą; taką, przy której można zapomnieć o wszystkich problemach.

Ja, niestety, nie mogłem sobie na to pozwolić. Przedtem, w trakcie pakowania, myślałem głównie o tym, aby niczego nie zapomnieć. Teraz przyszła pora na przeanalizowanie wszystkiego jeszcze raz.

* * *

Jak to się właściwie zaczęło?

Na początek rzec wypada, że pochodzę z niedużego miasta Duncan w Oklahomie i że w drugiej połowie lat sześćdziesiątych studiowałem w Los Angeles literaturę angielską, którą ukończyłem w sześćdziesiątym dziewiątym. Ja, prowincjusz ze środka Stanów, pokochałem Kalifornię z jej plażami i słońcem, pod którym rosły niemal wszystkie gatunki egzotycznych roślin. Pokochałem także samo Los Angeles, tak inne od Oklahoma City (w którym byłem zresztą bodaj dwa razy w życiu, oczywiście zanim wpadła mi w ręce tamta gazeta).

Wtedy, w czasach studenckich, ostro hippisowałem... Jak w to wszedłem? Historia, jakich w Ameryce wiele. Przyznaję, początkowo śmieszyły mnie te wszystkie kolorowo ubrane długowłose indywidua, które spotykałem na ulicach, w parkach i wszędzie indziej. Prawdę mówiąc, trochę się ich też bałem (akurat byłem świeżo po lekturze *Mechanicznej pomarańczy* Burghesa i każdy ekscentryk wzbudzał we mnie strach). Aż tu któregoś dnia na przystanku podeszła do mnie jedna taka para – ona w workowatej, kwiciastej sukni; on brodaty, w dzinsach „dzwonach” i cudacznie ufarbowanej koszulce – i któregoś z nich spytało: „Hej, nie masz może jakiejś kasy do w y s ę p i e n i a ?”

– a ja poczułem jakoś tak „przez skórę”, że jeśli nawet nic im nie dam, to nie będą mieli do mnie najmniejszego żalu. I tak dostali nie tylko pół dolara, ale i moją duszę. Zapušciłem włosy i brodę, kupiłem na straganie wyblakłą bluzę wojskową, a na szyi zacząłem wieszać rozmaite orientalne symbole... Po wykładach i w przerwach między ćwiczeniami włóczyłem się po ulicach i parkach, noce spędzałem przeważnie w różnych miejscowych komunach, zamiast w akademiku, albo do rana przesiadywałem w zadymionych marihuaną klubach (a pamiętam czasy, gdy w takich miejscach można było na żywo usłyszeć The Doors – zanim jeszcze podbili Amerykę, a potem Europę).

Czy ćpałem? Wypaliłem ze dwa skręty trawki, ale nie wciągnęło mnie to. Śmiać się z kałuży lub z grzyba na ścianie – też mi duchowe przeżycie! Z LSD, wówczas jeszcze legalnym, sprawa wyglądała groźniej; z tą „mistryką” miałem skończyć dopiero w 1971 (uczyniłem to, jak stwierdził dwa lata później mój psychoterapeuta, niemal w ostatniej chwili – po następnych paru działkach byłbym na prostej drodze do schizofrenii). Później po takie rzeczy sięgałem już bardzo rzadko, by na koniec przerzucić się całkowicie na medytację transcendentálną.

Gdy nadciągała kolejna sesja egzaminacyjna, siedziałem kamieniem w czytelnicy po kilkanaście godzin dziennie, aby nadgonić zaległości. Nie wiem, jakim cudem się to udawało – może jestem geniuszem? – dość, że nigdy nie oblałem egzaminu. Żyłem tak z dnia na dzień ku przerażeniu mojej rodziny, a właściwie przede wszystkim mamy. Ojciec – syn imigranta i nauczyciel języka angielskiego w liceum w Duncan – ławtwej to zaakceptował. Długie włosy kojarzyły mu się z romantyzmem, undergroundowe kluby – z paryską bohemą, Jim Morrison przypominał mu lorda Byrona. Ale mama pochodziła z rodziny mieszkającej w Stanach od pokoleń! Z kim mógł się jej kojarzyć facet z długimi włosami i nieuporządkowanym życiem? Z Indianinem, którego „porządna Ameryka” uważała za dzikusa? Z bandytą napadającym na pociąg? Uspokoiała się dopiero wtedy, gdy zobaczyła, że egzaminy nadal zdaję na piątki i czwórki i na detoksie nie ładuję. Oczywiście, za każdym razem, kiedy wpadałem z wizytą do domu, męczyła mnie, bym ściał włosy, ale chyba zdawała sobie sprawę, że tego nie zrobię.

Jej niepokoje odżyły, gdy skończyłem studia i okazało się, że... ani mi w głowie zmienić tryb życia. Zamiast znaleźć pracę, a zaraz potem żonę, wolałem mieszkać w pewnej komunie na przedmieściach Los Angeles. Od czasu do czasu zamieszczałem w prasie – zwykle alternatywnej – recenzję jakiegoś koncertu czy płyty (na studiach zdobyłem specjalność dziennikarską), ale przeważnie cichaczem wymykałem się do Duncan, by prosić ojca o kolejny czek... Cały następny rok upłynął mi w ten sposób.

Czy miałem wyrzuty sumienia? Trochę tak. Fakt, że utrzymywali mnie rodzice, nie podnosił też bynajmniej mego poczucia własnej wartości, choć z drugiej strony... Pisałem przecież te swoje recenzje – czy to moja wina, że drukowano ich tak mało i że prasa „podziemna” tak słabo płaciła? W każdym razie w ten sposób to sobie tłumaczyłem.

Wbrew obawom rodziny, do wojska mnie nie wzięto (później dowiecie się, dlaczego). Mamie przypomniało się zaś, że mąż jej starej przyjaciółki pracuje w kierownictwie jednego z dużych nowojorskich dzienników. Odbyła z nią kilka telefonicznych rozmów – stanęło na tym, że przyjadę do Nowego Jorku i tam mnie p r z e t e s t u j ą .

W Nowym Jorku najbardziej spodobał mi się zespół The Velvet Underground, który usłyszałem tam po raz pierwszy. A sam Nowy Jork? Oczywiście, jest piękny, ale przytłacza, tak jak Rzym, który zwiedziłem kilka lat później: wielki i wspaniały, lecz nie umiałbym w nim żyć. Natomiast to, co zobaczyłem w redakcji, przeraziło mnie. Ujrzałem wbitych w garniturki facetów skaczących jak koniki polne w pogoni za sensacją, a potem walących w maszyny do pisania po dwanaście godzin na dobę... Żywe maszynki do produkcji informacji dla znudzonych czytelników. Za niezłą kasę, to fakt – no i co z tego? Jakkolwiek banalnie to zabrzmiało, zawsze bardziej ceniłem sobie wolność. Taka praca albo wykończyłaby mnie, albo – co gorsza – zamieniła w jeszcze jedną redakcyjną maszynkę. I chociaż testy wykazały, że w zasadzie nadaję się na dziennikarza tej gazety, tym niemniej podziękowałem za dobre chęci. Wolałbym już przez osiem godzin dziennie przykręcać śrubki w Detroit, niż angażować swój umysł w sprawy, które od zawsze miałem gdzieś – takie jak sport, polityka czy życie eleganckich sfer...

Tamtego dnia nie dane mi jednak było pojechać ani do Detroit, ani też do Los Angeles. Na odchodnym otrzymałem – w prezencie od firmy – egzemplarz ostatniego numeru dziennika. Gazeta jak gazeta – od niechcenia zacząłem ją przeglądać... I wtedy natrafiłem na tę notatkę. Właściwie nie było to nic szczególnego. Pisali, że w więzieniu stanowym w mieście E. w Oklahomie jakiś przestępca już od dwunastu lat czeka na egzekucję, która pierwotnie miała nastąpić w roku sześćdziesiątym siódmym. Kaźń odwlekała się, gdyż kat stanowy na tydzień przed jej terminem wstąpił do ruchu Hare Krishna i odmawia zabijania czegokolwiek, łącznie z karaluchami. Słowem: skazaniec jest, krzesło jest – ale nie ma kto tego włączyć. Lista kandydatów w Oklahoma City nadal otwarta.

Przyszła mi wówczas do głowy dziwaczna myśl: „Oto zajęcie ze stałą pensją... nie wymagające stałej pracy!” – i następna, jeszcze dziwniejsza: „Akurat coś... dla mnie?!”. Śmiałem się z tych myśli, ale one nie chciały mi wyjść z głowy. Prawnie nadal byłem mieszkańcem Oklahomy..

Od dziecka mam naturę kawalarza. Na przykład ta historia, gdy we wszystkich telefonach w Duncan przez godzinę śpiewał Bob Dylan, to było moje dzieło z czasów podstawówki (o czym mogę już głośno mówić, gdyż przestępstwo uległo przedawnieniu). Tak więc i tym razem wyłącznie dla kawału postanowiłem zgłosić się do Oklahoma City i sprawdzić, czy mnie przyjmą (a raczej: kiedy odrzucą). Zadzwoiłem do domu i powiedziałem, że jest możliwość pracy, ale w Oklahomie, i że muszę czym prędzej znaleźć się w stolicy stanu i porządnie wyglądać. Przysłali mi telegraficznie pieniądze, które zamieniłem na czarny garnitur, krawat, białą koszulę, eleganckie czarne buty i kilka par skarpet (elegancja polega na tym, aby nosić skarpety w tym samym kolorze, co buty). Za resztę kupiłem bilet na najbliższy samolot do Oklahoma City i walizkę na moje hippisowskie szmaty.

Parę godzin później strojny w czerń wkroczyłem do gmachu sądu. Portier wskazał mi drogę do gabinetu, w którym przywitał mnie siwy urzędnik – na oko po pięćdziesiątce. Siadł za biurkiem, mnie kazał usiąść naprzeciw. Starałem się udawać śmiertelną (jak to brzmi!) powagę.

Zaczął od sakramentalnego pytania, dlaczego mam długie włosy (związałem je w kitkę, ale przecież były widoczne). Odpowiedziałem wymijająco, że studiowałem w Kalifornii i właśnie stamtąd wracam.

- Wpadniesz między wrony... i tak dalej? – spytał z jakąś podejrzliwością w głosie.

- Wie pan – odparłem flegmatycznie – tam dziewczyny lecą teraz tylko na długowłosych...

- A, rozumiem – uśmiechnął się pod siwym wąsem, po czym znów spoważniał. – Domyślam się, że nie był pan w wojsku...

- Zwolnili mnie od służby.

- Ale nie z przyczyn politycznych?

- Nie, zdrowotnych.

- A co panu jest?

- Stożek rogówki na obu oczach. – Spojrzał na mnie pytająco. – Taka bardzo rzadka wada wzroku – wyjaśniłem. – Pomagają na to specjalne szkła kontaktowe, ale nie mógłbym ich używać na wojnie, bo pył, brud, łatwo o zakażenie...

- Dolega panu coś jeszcze? – przerwał mi urzędnik.

- Hmm... Reumatyzm...

- W pana wieku?! – zdziwił się.

- W zeszłym roku wyjechałem z kumplami pod namiot. Przyszła ulewa, przemoczyła nas kompletnie i teraz bywa, że łamię mnie w lewej nodze.

Przezornie nie dodałem, że stało się to w Woodstock.

- W tej pracy to i tak nie przeszkadza. A serce ma pan zdrowe?

- Tak, całkowicie.

- Wierzę panu, ale badania lekarskie musi pan przejść. A był pan karany, aresztowany lub zatrzymany?

- Nie.

Okazało się, że posadę kata stanowego mam właściwie „w kieszeni”, bo poza mną zgłaszały się same szumowiny. Ja byłem jedynym wystarczająco moralnym kandydatem (zastanawiałem się, po co katu moralność, ale zdołałem powstrzymać śmiech). Skierowano mnie na badania – przeszedłem je pomyślnie. Na koniec stwierdzono, że nowy termin egzekucji tego skazańca, o którym pisano w gazecie, nie został jeszcze ustalony, zatem skontaktują się ze mną, gdy będą coś wiedzieli. Spytałem o pensję – okazała się całkiem nienajgorsza, tyle, że... na razie dla mnie niedostępna. Jak mi objaśniła pewna urzędniczka, mam

już tę pracę, ale mogę jej przecież nie podołać psychicznie, tak więc nie będą ryzykować. Uspokoiła mnie jednakże, iż po pierwszej egzekucji – jeśli ją wykonam – zostaną mi wypłacone zaległe pobory, otrzymam ubezpieczenie itp. Żart udał się więc, ale nie do końca.

Wyszedłszy z gmachu, rechotałem przez dobrych kilka minut – i nagle uprzytomniłem sobie, że owszem, kawał udał się... za bardzo. Sądziłem, że wyrzucą mnie na zbity pysk, a oni dali mi pracę k a t a ! Wszystko pięknie, tylko co będzie, gdy mi każą wykonać egzekucję?! Nie wykonam – będzie wstyd na cały stan! A jakże mam ją wykonać, skoro w życiu jeszcze nikogo nie zabiłem i nie wiem nawet, jak to się robi?!

Postanowiłem na razie dać sobie spokój i nie myśleć o tym. Będzie, co będzie.

Zatelefonowałem do rodziców z informacją, że wszystko jest na dobrej drodze. Przebrałem się w moje zwykłe ubranie, walizkę z garniturem odesłałem pocztą do domu. Następnie pojechałem autostopem do Los Angeles, gdzie hippisowanie pochłonęło mnie bez reszty. Uch! Tak jak nigdy! Znajomi podobno do dziś mają film o tym, jak przymilałem się do wieszaka na ubrania (będąc w stanie określanym, nie wiem dlaczego, jako „rozszerzenie świadomości”). Pewni złośliwcy twierdzili, że tamtego wieczoru obcałowałem także kilka palm, lecz to nic pewnego, bo ja czegoś takiego nie pamiętam, a dokumentacji filmowej brak.

Gdzieś w połowie piątego tygodnia tych szaleństw coś mnie tknęło, żeby zajrzeć do Duncan. A tam, jak już wiecie, zastałem mamę z urzędowym pismem w ręku...

* * *

Wzywa się kata stanu Oklahoma... – tu moje imię i nazwisko – *...do wykonania egzekucji na...* – tu imię i nazwisko – *...w więzieniu stanowym w E. o godzinie dziewiątej rano, dnia...* – to miało być już jutro! Byłem biednym hippisem z Los Angeles... i raptem los uczynił mnie właścicielem czarnego chevroleta nieuchronnie wiozącego mnie do E. Chyba, żebym w Bethany skręcił na autostradę... Ale przecież nie ucieknę do Los Angeles (ani nie zawrócę do Duncan), bo nienawidzę wystawiać ludzi do wiatru...

Tęskniłem jak nigdy za Kalifornią, gdzie wystarczyło „sępić” pieniądze od przechodniów.

Z Duncan do E. jedzie się zwyczajną jednopasmówką. Najpierw około dziesięciu mil do Marlow, stamtąd mniej więcej trzydzieści do Chickasha, dalej jakieś czterdzieści do Bethany, gdzie przejeżdża się wiaduktem nad autostradą, potem ze trzydzieści do Kingfisher, no i coś około czterdziestu siedmiu do E. W sumie jest to niecałe 158. Przy stałej prędkości czterdziestu mil na godzinę podróż zajmuje cztery godziny, może trochę więcej. Oczywiście można by szybciej, ale po pierwsze od dawna nie siedziałem za kierownicą, a po drugie była noc.

Niedaleko przed Bethany spostrzegłem, że jadę na rezerwie. Zapomniałem dolać paliwa ze stojącego w garażu wielkiego kanistra, a ten w bagażniku okazał się pusty. Nie przeraziło mnie to zbyt: pamiętałem, że przy wjeździe na autostradę jest stacja benzynowa.

Na stacji kazałem napełnić bak i – na wszelki wypadek – kanister. Postój był także okazją do rozprostowania kości. Wyjąłem ze schowka moją kurtkę z brązowego zamszu, którą przezornie zapakowałem przy wjeździe. Zapinałem guziki, przechadzając się nerwowo po otaczającym stację rozległym parkingu i rozmyślając, jak by wybrnąć z twarzą z sytuacji, w którą chyba z głupoty się wpakowałem. Lecz pewnie dziś bym już o tym postoju nie pamiętał, gdyby nie zdarzyło się... Ot, co się zdarzyło:

Na parking wjechał poobijany nash (bodajże jasnobrazowy). Wysiadły z niego jakieś dwie obdarte łajzy w kowbojskich kapeluszach; jeden o dwie stopy wyższy ode mnie, drugi znów niski i gruby. Bełkotali coś do siebie nieskładnie, sprawiając wrażenie stanowczo zbyt pijanych, aby prowadzić. Rozglądali się na wszystkie strony, aż zauważyli mnie.

– Te, hippis! – krzyknął ten wyższy. – Chcesz w mordę?
– Nie – odparłem spokojnie, kontynuując spacer.
– A ja ci mówię, że chcesz! – zawołał tamten zaczepnie. – A jak mówię, że chcesz, to znaczy, że chcesz! – dodał z typowo pijacką logiką. Obaj ruszyli w moją stronę.

Po plecach zaczęły mi chodzić zimne mrówki. Jako student trenowałem aikido, lecz nie byłem pewien swoich umiejętności. Po prostu nigdy ich nie potrzebowałem poza salą ćwiczeń.

W aikido nie ma uprzedzania ataku. Czekasz, aż przeciwnik zaatakuje – i obezwładniasz go. Ale rzadko trenowałem z dwoma napastnikami

naraz. Skoczyć do samochodu po klucz francuski? Wskoczyć za kierownicę i odjechać? Za daleko, za mało czasu... Wtem coś mi strzeliło do głowy. Gdy byli jakieś dwa jardy ode mnie, wyszarpnąłem z kieszeni koszuli złożoną we czworo kartkę formatu listowego i rozłożyłem ją – tak, by mogli zobaczyć tekst.

Podeszli. Najpierw zerknął ten wyższy. W miarę czytania zmieniał się na twarzy, bladł. Widziałem, jak momentalnie trzeźwieje.

– Winston, co ci? – spytał ten gruby. Wysoki podał mu kartkę.

– *Wzywa się kata stanowego...* – grubas z wysiłkiem odczytał moje personalia – *...do wykonania egzekucji...* Co ty, Winston! – Machnął ręką. – Założę się, k***a, że sam to sobie napisał!

– Nie! Ja znam podpis kierownika więzienia i pieczętkę. Takie same są na moim zwolnieniu – rzekł wielkolud drżącym głosem, po czym zwrócił się do mnie: – Ja przepraszam bardzo, ja nie wiedziałem... Jimmy taki nerwowy, ja go muszę, kurde, ciągle hamować... My już pójdziemy... Bez urazy. Nie było sprawy, co?

– Jasne, że nie było. – Złożyłem kartkę i schowałem do kieszeni. – A była jakaś sprawa?

Obróciłem się na pięcie i wolnym krokiem odszedłem w stronę gotowego już do dalszej drogi Powerglide'a. Widziałem ich odbitych w przedniej szybie. Ten wyższy mówił podniesionym głosem do grubego:

– To jest kat, rozumiesz?! Kat! Dla takiego zabić człowieka to jak, k***a, splunąć! Na pewno ma broń, myślisz, k***a, że nie? A potem gównu mu zrobią, bo działał w obronie własnej!

Zapłaciłem za benzynę, zatrzasnąłem za sobą drzwi auta i pozostawiłem tamtych ich własnemu losowi. W radiu Frank Zappa śpiewał: *We can crash in my nash*. Aż tak źle im nie życzyłem. Dość się najedli strachu.

Cała ta historia dobrze mi w sumie zrobiła. Uspokojony, zacząłem trzeźwiej myśleć. Dobrze, więc przyjadę do więzienia w E., nie wykonam egzekucji, no i co? Przecież – dotarło do mnie – kat jest anonimowy, zatem nikt spoza więzienia nie będzie wiedział, że się zbłądziłem. Nie wypłacą pensji? Jedyne, co mi grozi, to „sępienie” na ulicach Los Angeles. Oczywiście, Powerglide'a będę musiał oddać rodzicom... Nic to! Ważne, że poczułem się lepiej.

W czasie podróży odzyskałem nieco wprawę w prowadzeniu samochodu, postanowiłem więc skorzystać przynajmniej z jego mocy, skoro tylko dziś i jutro mogę go prowadzić. Docisnąłem gaz do sześćdziesięciu mil na godzinę, potem do siedemdziesięciu... W końcu nabrałem takiego rozpędu, że cała podróż zajęła mi w sumie niecałe trzy godziny, i to wliczając wspomniany postój.

Hotel, którego nazwę odczytałem z wezwania, odnalazłem bez trudu. Był na peryferiach miasta E. Na terenie ogrodzonym parkanem znajdował się parking, długi rząd bungalowów i jeden większy drewniany budynek z napisem „RECEPCJA” nad drzwiami.

– Nie ma wolnych miejsc! – rzekł portier (i zarazem chyba właściciel hotelu), gdy tylko przestąpiłem próg. Mały brunecik po czterdziestce – z wąsami, w niebieskim garniturku i z zielonym krawatem.

– Ale ja... – próbowałem wytłumaczyć, kim jestem i że mam rezerwację, lecz nie pozwolił mi tego wszystkiego powiedzieć.

– Mówiłem, że nie ma miejsc! – zawołał bardzo agresywnie. A potem już niemal histerycznie: – Niech pan się stąd wynosi, czego pan chce?!

Oczywiście chodziło mu o moją powierzchowność. Na parkingu stało dosłownie kilka samochodów, a wątpiłem, by inni goście przyszli pieszo. Ponieważ nie dawał mi dojść do słowa, po raz drugi tej nocy musiałem sięgnąć do kieszeni po złożoną kartkę formatu listowego. I po raz drugi zobaczyłem, jak przy jej czytaniu zmienia się ludzka twarz.

– Przepraszam... – wybąknął. – Nie wiedziałem... Oczywiście, kamuflaż... Proszę bardzo... Bungalow numer szesnaście, na samym końcu, oto klucz... – paplał nieskładnie. – Pan jest tym nowym... Proszę wybaczyć, myślałem, że to któryś z tych cholernych hippisów. Na nich to lepiej uważać! – najwyraźniej gadatliwość służyła mu za środek uspokajający. – No, ale mnie pan zaskoczył! Nie powiedzieli, jak pan będzie wyglądał. Ostatni raz gościłem tu kata pięć lat temu, ale to był jeszcze ten poprzedni... Dyskrecję ma pan oczywiście zapewnioną, inaczej zamknęliby mi ten interes, a możliwe, że i mnie przy okazji. Aha, stan Oklahoma pokrywa też koszty kolacji i jutrzejszego śniadania, zapraszam do sali jadalnej. Bagaż niech pan zostawi, zaraz go zaniosę do pańskiego domku.

Uklonił się, lecz nie podał mi ręki.

W sali jadalnej siedziałem sam, inni goście byli już najwyraźniej po kolacji. Zjadłem porcję kurczaka z ryżem i wypilem kieliszek wina.

Bungalow składał się z sypialni i łazienki – wzięłem prysznic. W sypialni stało szerokie łóżko, dwie szafki nocne i spore radio z gramofonem na wierzchu. Przejrzałem niewielki plik płyt, mocno już zdartych – przede wszystkim country i parę rzeczy z Broadway’u (*Hair* oczywiście nie było). Nic odpowiedniego dla mnie. Włączyłem więc radio, złapałem CBS i przez chwilę rozkoszowałem się głosem Janis Joplin. Hotel za friko, darmowa kolacja... Dobra muzyka... Pełnia szczęścia? Nie, do pełni szczęścia brakowało mi jeszcze...

* * *

...Leżała obrócona do mnie plecami, oddychając coraz spokojniej. Drobną, krótko ostrzyżoną (jak Mia Farrow w *Rosemary’s Baby*), subtelną blondynką. Na szafce stały dwa puste kieliszki po winie.

Spotkałem ją, gdy siedziała sama w pustym barze, do którego zaszedłem. Jej rodzice akurat polecili na weekend do Vegas. Ojciec był właścicielem jakiejś tam firmy (bodajże w Teksasie) i do ubogich nie należał... Miała dziewiętnaście lat, a na imię Doris. Chodziła do miejscowego liceum i trenowała w sekcji pływackiej. Coś tam jeszcze mówiła o szkole, ale tego już nie zapamiętałem... Dotychczas sypiała zwykle z kolegami z klubu sportowego, z reguły w tym samym hotelu. Teraz, leżąc ze mną w ciemności, wypowiedziała cicho moje imię. Miała taki dziecinny głos... Właściwie cała była trochę dziecinna: marzyła o wielkiej romantycznej miłości, jak u Segala, a chłopcy z miasteczka najwyraźniej skwapliwie to wykorzystywali.

Objąłem ją. Miała małe, twarde piersi, które całkowicie mieściły mi się w dłoniach. Delikatnie całowałem jej kark. Nigdy nie potrafiłem odmówić czułości takim dziewczynom jak Doris.

– Poczekaj – rzekła – zaraz wrócę.

Wysunęła się spod kołdry i poczłapała bosą do łazienki. Po chwili usłyszałem szum splotki i Doris wróciła do łóżka.

– Zauważyłam pojemniczek na szkła kontaktowe – powiedziała, tułac się do mnie plecami. – Jaką masz wadę wzroku?

– Stożek rogówki. To coś takiego, jak „odbicia obrazu” w telewizorze.

Widzisz przedmiot i jakby dwa takie same obok, tylko przezroczyste. A wszystko rozmazane. Tylko kontakty to korygują, zwykłe okulary nie...

- To fatalnie... - Doris sprawiała wrażenie zasmuczonej.

- Zależy. Ze względu na ten stożek mam zwolnienie od woja... Te kontakty to specjalne szkła, robione na zamówienie. Ale nie można w nich pływać, no i nie lubią pyłu. Lubią za to idealnie czyste ręce przy zakładaniu i zdejmowaniu, inaczej infekcja gotowa. Czyli akurat coś na wojnę.

- Nie da się tego jakoś wyleczyć? - spytała. Ludzie, ona naprawdę martwiła się o mnie...!

- Próbują operować - odparłem - ale na razie łatwiej stracić wzrok przy takiej operacji, niż w Wietnamie.

Przez jakieś pół godziny oddawaliśmy się pieścizotom.

- Czekaj - zastanowiło w pewnej chwili Doris - ciebie stać na hotel... Kim ty właściwie jesteś?

Ciekawe, za kogo mnie wzięła? Za gangstera na wakacjach czy za handlarza prochów? Obróciła ku mnie głowę i popatrzyła mi uważnie w oczy... Nie umiałbym skłamać.

- Widzisz, Doris, ja jestem... - Tak trudno było wykrztusić te słowa! - ...Stanowym katem. Przyjechałem wykonać egzekucję.

Byłem pewien, że mnie odtrąci, że ucieknie ode mnie. A ona...

- Hahaha! - wybuchła śmiechem, a jej piękne zęby zaślniły w świetle księżycy, gdy odwracała się do mnie przodem, by okładać moją pierś swymi małymi piąstkami. - Już ci wierzę! Przeczytałeś w gazecie, że jutro ma być egzekucja, i myślałeś, że mnie nastraszysz?! Ty paskudo, ty... - Tłukła mnie bez litości; była wysportowana i potrafiła bić naprawdę mocno. - Za karę będziesz musiał...

* * *

- ...Będę już musiała iść. - Pocałowała mnie. - Wiesz, nie chcę wracać nad ranem...

- Jasne, Doris.

Całowaliśmy się bardzo długo. Później pomogłem jej odnaleźć pod kołdrą stanik i majtki. Widziałem na tle okna, jak wciąga na swe szczupłe ciało dzinsy i sweter.

- Zajrzyj tu jeszcze kiedyś - poprosiła. Po chwili usłyszałem, jak odjeżdża jej samochód. Leżałem w mroku zupełnie sam.

Nagle poczułem straszliwy, przesywający brak. Brak jej szczupłego ciała, jej błyszczących zębów, wilgotnych ust, miękkich policzków, twardych piąstek... Jej ciepła, jej troski o mój wzrok... Nie! Po prostu jej, jej. Wiedziałem, że i ona bardzo pragnie, abym znów tu zajrzał. Wiedziałem też, że najprawdopodobniej już tu nie zajrzę. Bo nie będę miał samochodu, bo nie będzie mnie stać na hotel... To takie miało być moje życie? Bez przywiązań, bez zobowiązań – i bez najmniejszego prawa do nich? Więc albo to – albo zagrzebać się w rozlicznych przymusach, jak ci dziennikarze w Nowym Jorku, którzy mieli wszystko, co potrzebne do życia, oprócz czasu, by żyć? Więc nie ma trzeciego wyjścia?

Chyba, żebym... Tak. Chyba, żebym.

Zdaje się, że właśnie w tamtej chwili podjąłem decyzję.

* * *

Telefon obudził mnie o siódmej rano. Tak, jak prosiłem w recepcji.

Od rana czułem zdenerwowanie. Wstałem. Umyłem się. Włożyłem czarny garnitur. Związałem włosy w kitkę. Na koniec założyłem szklę kontaktowe – z trudem. Ręce mi się trzęsły. Cały się trząsałem.

W jadalni znów byłem sam. Nawet nie pamiętam, co jadłem. Śniadanie podała mi uroczą młodą Murzynka. Miała krótki fartuszek. Bardzo cienkie nogi. Białe pończochy. Wyraźnie się jej podobałem. Ja albo mój wóz. Mrugnęła do mnie kilka razy... Raz czy dwa dyskretnie otarła się o mój bok, przechodząc... Jakby nie było dość miejsca, żeby mnie ominąć! Błyskała zębami jak Doris... Doris! Gdyby nie ona, to kto wie, może zostałbym w hotelu na dłużej? Ale nie potrafiłem... Co jest?! Nie potrafiłem przestać myśleć o Doris.

Więzienie znajdowało się nieopodal. Ale nie widziałem go. Mgła zasłaniała wszystko. Właściciel hotelu wskazał mi drogę. Tak, jak biegnie szosa, a potem ścieżką w lewo. Przez dużą, pustą równinę. Można dojść pieszo. To dobrze. Wolałem nie prowadzić w takim stanie.

Przy hotelu był sklepik. Kupiłem ciemne okulary. Jakbym włożył maskę...

Poszedłem wzdłuż szosy. Bałem się, że spotkam Doris. Ale nie spotkałem.

W mojej komunie często medytowaliśmy przy takim utworze Berlioz *Marsz na miejsce kaźni*. Podobno skomponował go na high'u,

ale mniejsza o to. Słuchając tego kawałka, sądziliśmy zawsze, że wyraża on doznania skazańca. Ja na przykład widziałem w wyobraźni, jak dwaj uzbrojeni faceci prowadzą mnie przez las. Cokolwiek widzę – drzewo, kwiat, ptaka, swoje odbicie w kałuży – widzę po raz ostatni. Dlaczego o tym wspominam? Wydaje mi się, że owego ranka, idąc poboczem asfaltowej drogi, nie na swoją przecież egzekucję, czułem coś... zupełnie podobnego. Mijając samotne drzewo rosnące przy szosie, pomyślałem: „Jeśli się uda, to ja przecież zobaczę je po raz drugi. Tak. Ale już nie będę ten sam”.

Za drzewem ścieżka odchodziła w bok. Po chwili zza mgły wyłoniło się więzienie. Duży gmach z surowej cegły. Chyba z lat trzydziestych. Przy bramie zatrzymał mnie portier. Pokazałem mu wezwanie. Wyglądał na zdziwionego. Ciekawe, kogo się spodziewał... Zaprowadził mnie do dyżurki i przekazał strażnikowi. Ręki mi nie podał. Dyżurka była niewielką kanciapą z dwoma krzesłami i sporym pulpitem z mnóstwem przycisków, lampek... Strażnik miał około trzydziestki. Krępy, muskularny, z rudawymi wąsami. Szatyn. Te wąsy plus krzaczaste brwi paradoksalnie nadawały jego smutnej twarzy pogodny wyraz.

– Jeszcze nie wszystko gotowe – zwrócił się do mnie, gdy portier odszedł. – Lepiej niech pan poczeka tu – wskazał mi krzesło. Patrzył na mnie jakoś dziwnie przyjaźnie. Podał mi rękę. I mówił jak normalny człowiek do normalnego człowieka – a przecież wiedział, kim jestem!

– Pan... – urwałem niepewnie – ...się mnie nie boi?

– Boję to ja się tego, kto siądzie na krzesle elektrycznym – powiedział spokojnie. – Ale widzę, że pan się boi.

Nie odpowiedziałem nic. Sądziłem, że rozmyślenia o Berliozie uspokoiły mnie trochę. Dopiero po słowach strażnika zauważyłem, jak wciąż drżą mi ręce. Usiadłem.

– To tylko pierwszy raz jest trudne – zwrócił się do mnie.

– A skąd pan to wie? – ton mego głosu był agresywny, ale na nim nie zrobiło to wrażenia. Widocznie za dużo rozumiał, żeby brać moje zachowanie do siebie.

– Mówił mi poprzedni kat, gdy odchodził – odparł – i nakazał mi, abym to ja pana wprowadził. Dlaczego ja? – wzruszył ramionami. – Nie wiem.

Ale ja już wiedziałem.

– Chce pan, to opowiem, co zrobił ten sukinsyn... to znaczy ten skazaniec – zaproponował. – Będzie panu łatwiej.

Kiwnąłem głową. Trudno mówić przez ściśnięte gardło.

– On... zwabił do siebie czternastoletnią córkę sąsiadów... i przywiązał ją za ręce do kaloryfera – strażnik mówił bardzo powoli, z trudem. – Potem... otworzył jej żyły i gwałcił ją. Rozumie pan?! Ona się wykrwawiała, a on ją gwałcił! Gdy przyjechali gliniarze, była już martwa, a on jeszcze ją... – nie dokończył. Zobaczyłem w jego oczach wściekłość.

Poczułem się trochę pewniej. Milczeliśmy obaj, gdy na pulpicie za-terkotał brzęczyk.

– Czas na nas – powiedział strażnik. Skądś nagle ogarnął mnie chłód.

Weszliśmy w korytarz. Ściany pokrywała nitowana blacha. Pod sufitem płonęły jaskrawym blaskiem świetlówek. Kilka otwieranych elektrycznie krat zamknęło się za nami z trzaskiem. Przy każdej dwaj strażnicy.

Minęliśmy świetlicę więzienną. Zobaczyłem dwóch strażników. Składali przenośny projektor filmowy.

– Ostatnie życzenie – wyjaśnił mój przewodnik. – Film porno. Nawet nie chciało mi się oglądać. Nie z nim. Teraz niech pan uważa: skazańca podłączają klawisze, tacy jak ja. Pan tylko ciągnie za dźwignię, która zamyka obwód.

Było mi zimno. I jednocześnie gorąco. Bolał mnie żołądek. Bolał mnie brzuch. Kręciło mi się w głowie. Nogi miałem jakby bez kości. Ledwo się na nich trzymałem. *All the leaves are brown, and the sky is gray...* Wtem kolana ostatecznie zmiękły pod mną. Upadłbym, ale strażnik chwycił mnie za ramię. *I've been for a walk...* Kazał mi na chwilę zamknąć oczy. Gdy trochę ochłonąłem, poprowadził mnie, jakbym to ja był skazańcem. Gdyby nie on – z pewnością nie doszedłbym do celi śmierci. *I'd be safe and warm, if I was in L. A...* Spokojnie, człowieku! Pomyśl o Kalifornii. Pociągniesz za dźwignię... albo nie pociągniesz... i wrócisz do swojego Los Angeles. Pójdiesz na plażę... Potem na koncert rockowy... Tylko pociągnij za dźwignię...! Pomyśl sobie, że to hamulec bezpieczeństwa w pociągu, z którego chcesz wyskoczyć...

Serce waliło mi jak gitara basowa Terry'ego Buttlera. Nie potrafiłem spokojnie oddychać. Zawrót głowy... Nie dojdę...

– Spokojnie, to już tu – usłyszałem głos strażnika.

Zgrzyt pancernych drzwi. Ściany z nitowanej blachy. I fotel z nitowanej blachy. Pusta trumna. Obok gość w garniturze... Najwyraźniej sędzia. Dwaj strażnicy kończyli podłączać skazańca do fotela. Więzienny drelich... Wygolona głowa... na niej opaska z elektrod... Potężny człowiek... Trzydniowy zarost... Atleta. I zupełnie pospolita twarz – gdybym spotkał go na ulicy, nie przestraszyłbym się tej twarzy. Spojrzał na mnie... Nawet bez nienawiści. Obojętnie. Pewnie tak samo patrzył, gdy gwałcił umierającą dziewczynę.

– Rękawiczki! – powiedział strażnik. Podali. Białe. Trochę za duże. Sędzia wypowiedział jakąś formułę – nie słuchałem. Dźwignia sterczała ze ściany. Podeszedłem – ślaniając się. „Co to, kat czy panienka?” – usłyszałem głos, chyba skazanego.

All the leaves are brown... Położyłem dłoń na dźwigni. Nie czułem jej dotyku. *I've been for a walk...* Próbowałem pociągnąć... Nie potrafiłem... *I'd be safe and warm...*

* * *

...Powoli odzyskiwałem świadomość, ale ciągle nie mogłem się podnieść z zimnej podłogi. Nad sobą zobaczyłem wąsatą twarz strażnika. Dotarły do mnie jego słowa:

– Wszystko w porządku. Stracił pan przytomność na chwilę. Ale zrobił pan to.

Więc jednak...

– Ja... nie... chcia... – próbowałem coś powiedzieć.

– W porządku, w porządku. Niech pan nic nie mówi. Zaraz będzie pan mógł wstać.

Więc jednak to zrobiłem... O Boże...

Wstałem, ale nie czułem nic, nawet żalu. Byłem zupełnie pusty w środku. Trochę tylko szumiało mi w głowie, jak po paru piwach. Uświadomiłem sobie, że ciągle nucę. Od tego nucenia wzięło się zresztą moje przezwisko, które towarzyszyło mi jeszcze jako katu federalnemu: „Kto wykonuje tę egzekucję? Ach, California Dreamer?”.

Skazaniec leżał już w swej trumnie.

– Niech pan mu da rękawiczki... No, niech pan je wrzuci do trumny – zwrócił się do mnie strażnik. – To taki zwyczaj. Będą spalone razem z nim.

Jak w transie zdjąłem rękawiczki, wyracając je na lewą stronę. Tak, by nie dotknąć zewnętrznych powierzchni. Sędzia coś mówił. Podpisałem jakiś papier. Strażnik wyprowadził mnie na korytarz. Nitowane ściany i stropy waliły mi się na głowę. Znowu te same kraty i strażnicy.

Poszliśmy do kierownika. Starszy pan, też w mundurze. Z całkowitą obojętnością patrzyłem, jak wypłacają mi zaległe pobory i jak sekretarka wypisuje dla mnie legitymację ubezpieczeniową (*zawód: pracownik więzienia stanu Oklahoma*). Z taką samą obojętnością obserwowałem swoją rękę chowającą pieniądze i dokument w portfelu. Kierownik nie podał mi ręki. Strażnik wyszedł, a ja z nim.

– Może niech pan wypije drinka, ja stawiam – zaproponował.

– Nie, ja niedługo będę prowadził – wykrztusiłem.

– Na razie niech pan nie prowadzi. Aż pan ochłonie.

Szliśmy korytarzem.

– Niech pan posłucha – rzekł strażnik. – Wiem, że panu ciężko...

– A gównu pan wie! – wybuchnąłem. – Co mi pan tu pieprzy? Zabił pan kiedyś człowieka, tak?!

– Wiem tyle, ile mi powiedział pański poprzednik – odparł ze spokojem. – A mówię to, co mi kazał powtórzyć. Uprzedzał mnie, w jakim pan będzie stanie i jak się pan będzie zachowywał... A, i jeszcze jedno kazał mi powtórzyć... Jedno zdanie... Niech pan posłucha: t o p r z e j d z i e .

– Ale... ja... nie chcę, żeby przeszło! Rozumie pan?! – byłem bliski płaczu. – Nie chcę!

– Bo jeszcze pan nie rozumie.

– Czego?

– Nie wiem, tego mi nie powiedział.

– Żebym chociaż mógł sobie przypomnieć... – Stałem roztrzęsiony, ja, kat, naprzeciw uosobienia spokoju w mundurze więziennego strażnika. – Żebym pamiętał, czy najpierw pociągnąłem dźwignię, a potem... Czy pociągnąłem za nią, padając.

– Jak będzie trzeba, to sobie pan przypomni. Zresztą... Wygląda pan na inteligentnego. Podobno im kto inteligentniejszy, tym mocniej cierpi... Ale krócej.

To musiał być porządny klawisz. Może nawet czasami przymykał oko na szmugiel whisky do cel? Odprowadził mnie do wyjścia i – podał mi rękę. Pożegnaliśmy się bez słowa. Nawet go nie spytałem o imię. Ani on mnie.

Potem zacząłem biec. Nie pamiętam, kiedy. Chyba w chwili, gdy dotarłem do szosy. Biegłem, nie patrząc dokąd. Biegłem przed siebie. Właściwie nie ja biegłem. Swoje nogi i całe ciało odczuwałem jako coś zupełnie obcego. Nogi biegły same. Całe ciało biegło samo. Jakby niewidzialna linka ciągnęła mnie do przodu. W głowie miałem chaos. Widziałem dźwignię zamykającą obwód elektryczny, widziałem skazańca siedzącego na krześle i leżącego w trumnie, i widziałem mamę, i widziałem strażnika, i widziałem twarz hotelowego recepcjonisty i twarze bandziorów na stacji benzynowej czytających moje wezwania, i widziałem śmiejącą się w świetle księżyca twarz Doris...

* * *

Bieg przerwałem tam, gdzie na dobre zaczynało się już miasto. Oparty o jakiś mur, dyszałem. Podniosłem wzrok – mur był ogrodzeniem neogotyckiego kościoła. Ciemne okulary zaparowały mi kompletnie. Uniosłem je. Tablica na murze głosiła: *Kościół rzymskokatolicki pod wezwaniem...* Na chwiejnych nogach wszedłem do środka. Oczywiście nie po to, żeby klęknąć i udawać, że się modłę, i tak dalej. Właściwie sam nie wiedziałem po co.

Wystrój wnętrza – również neogotycki. Nie wiem, jakim cudem udało się u nas wybudować coś w jednym stylu. Nagle zapragnąłem rozpostrzeć ręce szeroko – tak szeroko, żeby wypełnić całą tę nawę i nie być takim małym w tak dużej przestrzeni.

W parę chwil później w bocznej nawie dostrzegłem konfesjonał. Na szczęście i on był w starym stylu. Nie taki, jak dzisiejsze, gdzie spowiednik i spowiadany są na widoku, obnażeni. Solidna szafa, w której siedział ksiądz – siwy jak ten urzędnik z Oklahoma City. A po bokach – dwie mniejsze szafy, mroczne i przytulne, zupełnie jakby matce. Schroniłem się w jednej z nich.

Należy tu coś wyjaśnić: chociaż pochodzę z rodziny katolickiej, nigdy nie należałem do zbytnio religijnych – nawet jako dziecko. Mimo to spowiedź zawsze była dla mnie czymś szczególnym (jakkolwiek

od początku studiów nie przystąpiłem do niej ani razu). Spowiednik to ktoś, komu możesz powiedzieć wszystko – nawet to, czego, wydawałoby się, nie można powiedzieć nikomu – i do kogo masz całkowite zaufanie, jak do siebie. Jednocześnie jest to drugi człowiek, który spojrzy na twoje sprawy z innej strony, z innego punktu widzenia. Takie spojrzenie kogoś drugiego pomaga ci nabrać obiektywizmu. Poza tym samo głośne mówienie o swoich problemach uspokaja i oczyszcza... A czasem wręcz nasuwa odpowiedzi, tak, jak dobrze postawione pytanie.

Ksiądz i ja wymieniliśmy odpowiednie formuły słowne i poszło to jakoś tak automatycznie. Dopiero gdy spytał mnie o moje grzechy... Trudno było mi zacząć. Milczałem.

– Spokojnie, synu, masz czas. Nie denerwuj się.

Przeżyłem straszliwie długą chwilę ciszy. W końcu zdobyłem się na wyznanie. Lub raczej siłą wydarłem je z siebie.

– Proszę księdza, ja... zabiłem człowieka. – Potem spowiednik milczał przez chwilę, jakby nie wiedząc, co z moim wyznaniem zrobić. Pewnie pierwszy raz w swoim życiu usłyszał coś takiego.

– Powiedz mi – zaczął niepewnie – czy zabiłeś w obronie własnej?

– Nie.

– A może w obronie kogoś innego? Swojej rodziny? Domu? Narzeczonej? – starał się mówić bardzo łagodnie.

– Nie, w niczyjej obronie...

– Zabiłeś kogoś, kto nie zagrażał ci w żaden sposób?

– Tak. – I znów przez chwilę żaden z nas nic nie mówił. Po tym wyznaniu ponownie miałem uczucie kompletnej pustki, lecz ciągle bez uczucia ulgi.

– Synu – powiedział wreszcie kapłan chwiejającym się lekko głosem – wiem, że to bardzo ciężka pokuta... ale jedyna możliwa – urwał na kilka sekund, po czym dokończył zdecydowanie: – Oddaj się w ręce prawa!

– To niemożliwe.

– Możliwe. Trudne, ale możliwe. I to jedyne, co może ci przynieść spokój...

– Proszę księdza – przerwałem mu – ja to zrobiłem w majestacie prawa.

– Zaraz... – zawahał się ksiądz. – Nie rozumiem... Chyba że... Zabiłeś na wojnie, czy tak?

– Nie!

– Czekaj, synu... zaraz... bo już całkiem nie rozumiem – wydawał się zmieszany. – Nie jesteś chyba policjantem... Jesteś?

Musiałem to wreszcie z siebie wyrzucić:

– Ja jestem katem – rzekłem z mocą. – Rozumie ksiądz?! Katem! – mówiłem o wiele za głośno, ale na szczęście byliśmy w kościele sami. – Dziś rano wykonałem wyrok.

Ksiądz bardzo długo nie mówił nic. Nie wiem, jak długo – straciłem zupełnie rachubę czasu – ale dla mnie to była wieczność. Jeszcze ogromniejsza od tego, co czasem odczuwa się pod wpływem meskaliny.

– Synu – rzekł wreszcie – jestem w trudnej sytuacji... Naprawdę nie wiem, co ci mam powiedzieć. Kościół pozostawia państwu prawo do decydowania o karze śmierci... Ale nie wiem, jak traktować zawód kata. Nie wiem, czy zgrzeszyłeś, a jeśli zgrzeszyłeś, to jak bardzo. Więc nie wiem i tego, czy potrzebne jest rozgrzeszenie i czy mi wolno ci go udzielić... Czuję zupełną pustkę... Myślę, że ty też. – Znów milczał przez parę chwil. – Być może jakiś inny spowiednik zobaczy twoją sprawę jaśniej? Na razie będę się za ciebie modlił. Odejdź w pokoju... Niech cię Bóg prowadzi.

Zastukał w konfesjonał, pewnie odruchowo. Wstałem – ciągle z tą pustką w środku. Bez myśli i uczuć. Chcąc wyjść ze świątyni, również odruchowo klęknąłem przed ołtarzem – i doznałem olśnienia. Nagle pustka się wypełniła. Było to jak... powtórne narodziny.

Poczułem ulgę. Poczułem ją bez jakiegokolwiek racjonalnego powodu. Niczego sobie nie wytłumaczyłem, nie znalazłem wygodnego usprawiedliwienia typu: „nie jestem mordercą, to skazaniec był mordercą i gwałticielem, mógłby uciec z więzienia i powtórnie zgwałcić i zamordować, na przykład Doris albo tę śliczną kelnerkę z hotelu, a dzięki mnie nie zrobi już krzywdy nikomu”, lub: „nie zabiłem człowieka, człowiek umarł w nim dawno temu, a może nigdy się nie narodził” i tym podobne nic nie znaczące frazesy. Moja przemiana zaszła w sposób tak oczywisty, że aż niezwykły. Wciąż pamiętając, co zrobiłem, ni stąd ni zowąd uwolniłem się od poczucia grozy. Co lepsze, mój czyn utracił wyjątkowość, przestał być czymkolwiek szczególnym. Byłem sobie oto jak świeżo zatrudniony pracownik złomowiska, który po raz pierwszy zgniótł stare auto w kosteczkę – zwykła praca. Nie

miało to wszystko, rzecz jasna, najmniejszego sensu... a jednak działało! To pewnie było właśnie to, co miałem zrozumieć. Co m u s i a ł e m zrozumieć, żeby nie zwariować. Wiedziałem, że tamto czasami może mnie jeszcze męczyć, ale właściwie już zwyciężyłem. Znalazłem – jeśli nie spokój, to przynajmniej drogę do niego...

Wyszedłem z kościoła i zacząłem iść przed siebie. To już nie był hipnotyczny marsz na miejsce stracenia, ani rozpaczliwa ucieczka z miejsca zabójstwa, tylko zwyczajny spacer przez dzielnicę domków jednorodzinnych otoczonych ogródkami. Wcześniej przebiegłem tamtędy nic nie widząc – teraz pomyślałem, że na wiosnę musi być tam kolorowo od kwiatów. I jeszcze o tym, iż być może w którymś z tych domków mieszka Doris...

Niespiesznie wróciłem do hotelu. Nawet nie zwróciłem uwagi na drzewo, które mijałem rano. Dobiegała końca doba hotelowa, zawiadomiłem więc właściciela hotelu, że płacę za następną i poszedłem do siebie. Zdjąłem czarny garnitur i schowałem do walizki – odtąd miał służyć już tylko do egzekucji. Wziąłem kąpiel – bo spociłem się, jakbym na własnych nogach przybiegł do Los Angeles – i włożyłem swój codzienny ubiór. Pozostało kilka spraw do załatwienia. Po pierwsze zadzwoniłem do domu, że mam pracę i będę rzadziej zaglądał do Duncan. Następnie pojechałem samochodem do miasta, gdzie założyłem rachunek w banku (wolałem, żeby to było w Oklahomie, a do stolicy nie chciało mi się jechać), wysłałem pocztą do więzienia numer mojego konta oraz prośbę, by przyszłe wezwania przesyłali na poste restante (żeby któreś nie wpadło w ręce rodziców), zjadłem obiad w restauracji i jakiś czas włóczyłem się po mieście. Wieczorem przyjechałem do hotelu, zjadłem kolację i nie zamówiłem budzenia. Zasnąłem jak małe dziecko. Brakowało mi tylko Doris. „To dobrze – pomyślałem – że E. nie będzie mi się kojarzyć wyłącznie ze śmiercią. W sumie to ładne miasto”.

* * *

Rano po śniadaniu wziąłem walizkę – właściciel hotelu uparł się, że sam zanieś ją do Powerglide’a i włoży do bagażnika – wypisałem czek na tyle, na ile opiewał rachunek i wskoczyłem za kółko. Postanowiłem, że pojedę prosto do Los Angeles. Co tydzień będę dzwonił na

pocztę w Duncan pytając, czy nie ma do mnie czegoś na poste restante. Trzeba też będzie od czasu do czasu wydrukować jakąś recenzję koncertu, żeby mieć co przysłać rodzicom...

Nagle zdałem sobie sprawę, że źle jadę. Zamiast kierować się na południe do Bethany, przez pomyłkę skręciłem na północ i akurat wjeżdżałem do E. Czym prędzej zawróciłem i w tejże chwili... zauważyłem drobną blondynkę idącą poboczem. Nie myliłem się, była to Doris. Zatrzymałem wóz i wysiadłem.

- Witaj, śliczna!

Była zaskoczona. - Jeszcze nie wyjechałeś? - zapytała z kiepsko udawaną obojętnością. - Myślałam, że już cię znudziło nasze miasto!

Spojrzała na Powerglide'a.

- Chyba go nie ukradłeś? - zaniepokoiła się.

- Nie, nie! To prezent od rodziców z okazji... No, nieważne.

- A dokąd jedziesz?

- Do Los Angeles.

- Ach! - westchnęła rozmarzona. - Jak ja bym chciała uciec do Kalifornii, popływać w oceanie...

- No, no! A szkoły czasem nie masz?

- Och, ty! - znów poszły w ruch jej piąstki. - Zapomniałeś, co ci mówiłam? W tym roku zrobiłam maturę! Do sekcji pozwalają mi jeszcze przychodzić, ale jestem już wolna! - istotnie, mówiła i zapomniałem.

Wówczas to, całkiem niespodziewanie - w mgliste przedpołudnie w Oklahomie, pod ciosami dziewiętnastolatki - dopadło mnie jeszcze jedno olśnienie.

- Doris! - spojrzałem jej w oczy. - ...Tylko odpowiedz mi poważnie i szczerze.

- Dobrze...

- Czy chcesz tam pojechać... ze mną?

Nie wahała się ani chwili.

- Oczywiście, że tak!

Zgięty w groteskowym ukłonie, otworzyłem przed nią drzwi chevroleta. Z gracją wskoczyła na prawe przednie siedzenie. Pojechaliśmy do Bethany, a stamtąd autostradą na zachód...

* * *

W Los Angeles zaczęliśmy od wizyty w supermarkecie: zrobiliśmy zakupy żywnościowe dla całej mojej komuny, o której opowiedziałem Doris w czasie jazdy. Potem udaliśmy się do domu, w którym rezydowali moi przyjaciele. Postanowiliśmy na razie zamieszkać z nimi, póki nie znajdziemy czegoś tylko dla siebie.

Na podwórzu tańczyło kilka par – dwóch czy trzech osób nie znałem, najwyraźniej jacyś nowi. Z kolumn głośnikowych stojących w oknach dobiegała muzyka, chyba Jefferson Airplane. Gdy wysiedliśmy, usłyszałem całe mnóstwo słów powitania. Wszyscy wyściskali nas oboje.

– To jest Doris! – przedstawiłem moją towarzyszkę, przekrzykując muzykę.

– Jesteś jego kobietą? – spytał Doris nieznany mi brodaty chłopak.

– Jego i tylko jego! – odkrzyknęła.

– Ale żarcie w bagażniku jest dla wszystkich! – dodałem ja. Ktoś puścił płytę The Mamas And The Papas i zabrzmiały pierwsze dźwięki *California Dreamin'*.

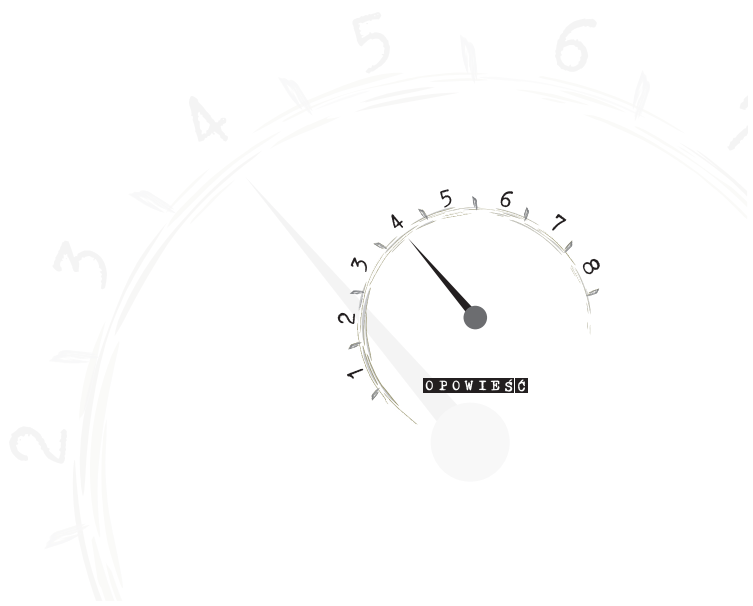
– Zatańczymy? – spytała Doris.

– Kiepsko tańczę – spróbowałem się wykręcić, lecz tylko ją rozbawiłem.

– I ja też! – odparowała z uśmiechem.

I zatańczyliśmy. Tak właśnie zaczęło się moje podwójne życie.

JAK FARBKI,
JAK KREDKI,
JAK KOLOROWE
MAZAKI...



Jak farbki, jak kredki, jak kolorowe mazaki...

pamięci Syda Barretta

- Ta pacjentka od 1970 roku jest w śpiączce po nadużyciu narkotyków. Bardzo nietypowy przypadek. Miała 6 lat i zapewne w ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, co łyka... Wzięła cały arsenał: końską dawkę LSD plus parę groźniejszych rzeczy, które prawdopodobnie uszkodziły jej mózg. Od tego czasu nie reaguje na żadne bodźce.

- Jej rodzina w ogóle była jakaś feralna. Ojciec zginął w Wietnamie, a nastoletnia siostra jakoś tak zaraz po jej wypadku popełniła samobójstwo...

* * *

Nigdy nie wpuszczano Agnes do pokoju Grace. To znaczy siostra, będąc w pokoju, pozwalała jej czasami wchodzić, ale ani mama, ani Grace nie wpuszczały tam dziewczynki samej.

Grace chodziła do szkoły - i to, jak zaznaczali wszyscy, do „szkoły średniej” - a więc była już „duża”. Co prawda, zdaniem Agnes, musiało być w tym trochę przesady. Skoro siostra nie chodziła do „szkoły dużej”, a tylko do „średniej”, to musiała być średnia, a nie duża. I rzeczywiście, nie była ani najmniejsza, ani największa. Bo Agnes miała jeszcze jedną siostrę - najstarszą, imieniem Susan - przeważnie nieobecną w domu, gdyż uczącą się na „wyższych studiach”. Faktycznie, była wyższa - i od Agnes, i od Grace, i nawet od mamy! Tym niemniej Agnes, jako najmniejsza, nie chodziła jeszcze do żadnej szkoły (choćby nawet bardzo małej) i zakaz wstępu do pokoju siostry obowiązywał ją bezwzględnie.

A pokój pełen był ciekawych rzeczy! Na ścianach obrazki malowane przez Grace – jeden z lwem o kolorowej grzywie, inny z dziewczyną, która zamiast oczu miała okna... W szafie wisiały sukienki w kwiaty, ptaki i najdziwniejsze wzory, nawet zasłony w oknie mieniły się niby tęcze. Wszystko czarodziejско wielobarwne – jak farbki, jak kredki, jak kolorowe mazaki... A sufit – niebieski jak niebo, z namalowanymi białymi chmurami.

Ale najciekawsze wydawały się płyty, tajemnicze krążki w kolorowych okładkach. Agnes też miała swoje płyty – z baśniami, z piosenkami dla dzieci – lecz na tych należących do Grace nagrano niezwykłą muzykę. Siostra nie pozwalała nikomu wchodzić, gdy ich słuchała, jednak puszczała je na tyle głośno, że Agnes mogła swobodnie słuchać ze swojego pokoju, sąsiadującego z Grace przez ścianę. Siadała na dywanie lub kładła się na łóżku i zamykała oczy, a muzyka ogarniała ją zewsząd. Pulsujące tony, odbijane echem, rozmyte, niepodobne do jakichkolwiek znanych jej dźwięków, jakby płynące spoza tego świata... Rytmy czasem senne, a czasem znów lecące z zawrotną szybkością... Pod powiekami widziała wtedy mieniące się kolory – jak farbki, jak kredki, jak kolorowe mazaki... Siadała więc przy swym dzieciennym biurczku nad kartką papieru i powstawały rysunki pełne nieznanymi, jak gdyby nie z tego świata, barw i kształtów. Pokazywała je potem mamie, a ta powiadała żartobliwie: „Oj, robisz się podobna do Grace!”. Agnes bardzo radowała te słowa, i nie tylko dlatego, że Grace wciąż chwalono, iż „dobrze się uczy”. Oczywiście, to musiało znaczyć coś miłego, ale poza tym Agnes marzyła, by – jak siostra – nosić kolorowe sukienki i wszystko mieć kolorowe. Jak farbki, jak kredki, jak kolorowe mazaki.

Aż raz mama pojechała do cioci, Grace wyszła do koleżanki... Agnes pozostała w domu sama, pokój siostry pozostał otwarty... A w głowie dziewczynki powstała myśl, że gdyby teraz tam poszła, to oprócz niej nikt by o tym nie wiedział, czyli byłoby tak, jakby tam nie poszła.

Na palcach, jak gdyby ktoś mógł ją usłyszeć, wyszła na korytarz. Poczula strach – ale właściwie czego miała się bać? Że już nie wróci? Głupia, przecież nic jej tam nie zje! Nacisnęła klamkę i weszła do pokoju. Ze ścian popatrzyły na nią dziwne twarze, dziwne zwierzęta... Okręciła się wokół własnej osi – zawirowały kolory i kształty, indyjskie wzory

na zasłonach... Rozmyły się w rwący nurt barw. Zawrót głowy rzucił ją na przykryty wzorzystą narzutą tapczan. Roześmiała się. Karuzela zwolna wyhamowała w jej głowie.

Mogłaby zaraz wyjść tak, jakby nigdy nie weszła. Ale zamiast tego otworzyła szafę z ubraniami Grace. Wtuliła buzię w miękki materiał sukienek. Postanowiła jedną przymierzyć – wybrała najkrótszą, ale i tak wisiała na niej jak na Cygance. Agnes była teraz cała w motylki – różnobarwna jak farbki, jak kredki, jak kolorowe mazaki.

Mogłaby puścić sobie jakąś płytę na sprzęcie hi-fi siostry, a potem odłożyć krążek na miejsce, jakby wcale go nie ruszała. Ale zamiast tego zajrzała do szuflady w szafce – tej, w której Grace trzymała swoje wisiorki. Z drewna, kolorowego plastiku, pestek... Mogłaby wybrać jeden, przymierzyć i zaraz odłożyć, jakby wcale go nie brała. Ale szukała czegoś naprawdę niezwykłego, sięgnęła więc pod spód i... W dnie szuflady natrafiła na ruchomą deskę, a pod nią – odkryła jakby wnękę, w której leżało kilka przezroczystych torebek pełnych kolorowych cukierków. W każdej torebce cukierki w innym kolorze: niebieskie, żółte, czerwone, zielone, brązowe – jak farbki, jak kredki, jak kolorowe mazaki...

Gdyby Agnes kiedykolwiek chorowała, wiedziałaby, że to nie cukierki, tylko jakieś pigułki. Ale nigdy nie chorowała; ani ona, ani nikt z jej rodziny... Uznała, że jeśli z każdej torebki wyjmie tylko trochę, siostra nic nie zauważy. Zaczęła od dużych, białych kryształków przypominających cukier – zjadła pięć, smakowały słodko – i jeśliby na nich poprzestała, może wszystko nie skończyłoby się jeszcze najgorzej... Wzięła po pięć z każdego koloru. Z wierzchu słodkie, w środku... właściwie bez smaku. A potem jeszcze parę tych słodkich kryształków, tylko parę.

Chciała odłożyć je na miejsce i zamknąć szufladę... Wtem nogi ugięły się pod nią, aż siadła na podłodze. Znow miała wirującą karuzelę w głowie, a poza tym czuła błogie rozleniwienie. Legła na wznak i patrzyła w sufit – niebieski, z białymi chmurami. Zaraz wstanie, odwiesi sukienkę na miejsce i wyjdzie... Tylko niech karuzela wyhamuje.

Nagle sufit zaczął się oddalać. Sufit i ściany... Pokój rósł w oczach, meble ogromniały. A może to ona malała? Wszystko stawało się nieskończone. Jak teraz wyjdzie? Nie dosięgnie klamki! Na razie i tak była zbyt ociężała, by wstać... Na pewno to przez te cukierki, pewnie też

od nich jest teraz malutka. Ale motylki na sukience nie mogły zmaleć, przecież nie jadły cukierków... No pewnie, że nie zmały! Fruwały teraz wokoło – większe od niej – i chichotały różnobarwnie. Ten chichot pulsował odbijany echem, rozmyty, niepodobny do jakichkolwiek znanych jej dźwięków, jakby płynący spoza tego świata...

– Agnes, mały motylku! – zapiszczały chórem – Polataj z nami!

– Nie mogę wstać... – poskarżyła się.

– Nie musisz wstawać. Skrzydełka poniosą cię same. Wystarczy chcieć latać!

– Chcę! – zawołała – Chcę latać!

Na te słowa stała się leciutka i wzleciała ku sufitowi, który był niebem. Miała skrzydełka motyla, mieniające się jak farbki, jak kredki, jak kolorowe mazaki, jak sukienki siostry. Zanurkowała w słonecznie ciepłym błękiecie. Jakby pływała w basenie z wodą – tyle, że pod wodą nie można oddychać. Błękit unosił ją niby piórko, jak w tych kosmicznych transmisjach z astronautami w stanie nieważkości... Wylądowała na białym obłoku, próbując go polizać – w smaku przypominał lody waniliowe: słodki, chłodny. Znowu leciała, patrząc teraz na dół. Z daleka, zza białych chmur, wyglądały tapczan, biurko, szafa, półka na ścianie – malutkie jak domki na zdjęciach robionych z samolotu. I jeszcze na podłodze postać jakiejś małej dziewczynki leżąca na plecach.

Obniżywszy lot, pomknęła wzdłuż ciemnobrązowej półki pełnej książek. Gigantyczne napisy na ich grzbietach potrafiła ledwo przeliterować: B-L-A-K-E, H-E-S-S-E, H-U-X-L-E-Y, G-I-N-S-B-E-R-G, K-E-S-E-Y... Minęła biurko, zauważając książkę otwartą na fotografii starszego pana z zabawną czupryną. Przez wywietrznik w ścianie wyleciała do holu i wzdłuż poręczy schodów sfrunęła na parter.

Przy schodach, na komodzie, stało oprawione w czarne ramki zdjęcie taty w mundurze. Bo tata był lotnikiem, i to – jak wszyscy mówili – „wysokim oficerem lotnictwa”. Prawda, wysokim: widziała kiedyś – na innym zdjęciu – jak uniesioną ręką sięgał niemal do sufitu! Ale tata nie mieszkał już w domu, bo – gdy Agnes była jeszcze całkiem malutka – zginął na wojnie. W helikopterze, który się rozbił. Słyszała o tym od mamy, lecz nie mogła tego zrozumieć. Wreszcie spróbowała zrobić tak, żeby szklanka poleciała za okno. Szklanka się rozbiła, a włożona do

niej łyżeczka zginęła – wszystko się zgadzało! Mimo to Agnes zawsze wyobrażała sobie, iż musi być fajnie tak latać. Przecież niekoniecznie trzeba się rozbić! A poza tym po tygodniu znalazła tę łyżeczkę – w kępie trawy na podwórzu. Może i tatę kiedyś znajdzie? Martwiło ją tylko, że o ile wiedziała, gdzie jest podwórze, to zupełnie nie miała pojęcia, gdzie jest wojna. Grace powiedziała kiedyś przy kolacji, że tata niepotrzebnie tam poszedł, jak zresztą wszyscy. Mama rozzłościła się na nią o to strasznie, co Agnes trochę zdziwiło, bo gdy ona zginęła kiedyś w jednym dużym budynku, mama potem skrzyczała ją, po co tam poszła.

A teraz ona, Agnes, fruwa w powietrzu!

Przez otwarte drzwi wleciała do salonu. Lotem koszącym przecięła pokój, schodząc nad łąkę dywanu. Tuż pod sobą miała pole kwiatów; rozmyte szybkością mieszały się w jej oczach w rwący nurt barw – jak farbki, jak kredki, jak kolorowe mazaki...

– Witajcie, kwiatki! – zawołała, przypomniawszy sobie, że jest motylkiem. – Czy mogę napić się waszego nektaru?

Nektar o smaku niebieskim, czerwonym, żółtym; nektary o smakach pomieszanych barw...

Wzleciała nad podłużny stół, na którym trwała zima: śnieg obrusu promieniował białym chłodem. Na samym środku, skrząc się tęczo, stała kryształowa szklanka. Agnes schowała się w niej i dla zabawy zaczęła stukać skrzydełkami w przezroczyste ścianki. Delikatny, wysoki dźwięk otoczył dziewczynkę, oblewając ją świecącymi wibracjami... Smakował jak kostka lodu w wodzie mineralnej.

Szklanka przypomniała Agnes o tacie. „Żeby tylko nie rozbiła jej – powiedziała sobie – bo jakbym się zgubiła, to takiej malutkiej nigdy mnie nie znajda”. Na wszelki wypadek opuściła wnętrze naczynia.

By odpocząć, przez chwilę przysiadła na oparciu wielkiej kanapy z czarnej skóry, wodząc wzrokiem po ścianach i meblach. Na wprost niej – nad regałem pełnym książek, kryształów i innych rzeczy, których nie wolno jej było dotykać – wisiała fotografia Susan, siostry, która uczyła się na „wyższych studiach” w jakimś Nowym Jorku. Kiedyś, gdy przyjechała na lato do domu, pokazała Agnes na mapie, gdzie jest to miasto. Dziewczynka przesiedziała potem cały wieczór, szukając Starego Jorku, ale nie znalazła. Być może ten Jork był tak stary,

że – według określenia mamy – „odszedł”? Jak babcia, też stara, której podobizna wisiała nad kanapą (w tamtej chwili dokładnie nad Agnes).

Dziewczynka na powrót wleciała w powietrze. Zauważywszy, że szklane drzwi regału są uchylone, wśliznęła się do środka. Przefrunęła nad miastem kryształowych naczyń o przejrzystości chłodnym dźwięku. Wylądowała na tarczy starego zegara po babci.

– Witaj, Agnes – powiedział zegar. – Jestem Czas. Czekałem na ciebie.

– Czas? – zdziwiła się. – Wszyscy ciągle o tobie mówią, a ja cię nigdy nie widziałam.

– Bo większość ludzi myśli, że ja tylko biegnę...

– Biegiesz? Jak Grace? – Agnes zaczęła biegać dookoła cyferblatu, niczym po kolistej bieżni. – Raz poszliśmy z mamą popatrzeć, jak biegała z koleżankami. I moja siostra wygrała! Była pierwsza na mecie!

– Tylko, że ja nie biegnę. Pewien pan, którego zdjęcie widziałas w otwartym podręczniku do fizyki na biurku siostry, zrozumiał, że ja po prostu jestem. To wy po mnie biegacie.

– W koło?

– To zależy, jak sobie mnie wyobrażasz. Mogę być i taki! – tarcza z cyframi rozprostowała się w podziałkę linijki, podobnej do tej, którą Grace nosiła w szkolnej teczce, tylko nie mającej nigdzie końca. – A ty możesz po mnie biegać, w którą stronę chcesz i tak szybko, jak ci się podoba!

– Naprawdę?

– Dzisiaj ty będziesz pierwsza na mecie. Wyprzedzisz siostry i nawet mamę.

– Tak? Hura!

Agnes pobiegła ile sił w nogach i jeszcze szybciej. Biegła, biegła... Przeskakiwała minuty, godziny, dni... Lata niczym latarnie migały jej w oczach... Aż stanęła zasapana. Przypadkiem spojrzała na swoje ręce i... aż krzyknęła. Były wielkie i pomarszczone – jak ręce babci.

– Co mi się stało?!

– Jak już mówiłem – odparł zegar – wszystko zależy od twoich wyobrażeń. Spójrz w lustro: może być i tak!

Popatrzyła w wewnętrzną, lustrzaną ścianę kredensu. Ujrzała małe dziecko – niemowlę uczące się chodzić, ledwo stojące na małych nóżkach...

- To jestem ja?

- To byłaś ty. To będziesz ty. Nie pamiętasz? Możesz pobiec, w którą stronę chcesz...

Nagle, nie wiadomo skąd, zjawił się rój malusieńkich motylek. Otoczyły Agnes chmurą opalizującą barwami – jak farbki, jak kredki, jak kolorowe mazaki...

- Jesteśmy sekundy! – pisnęły. – Uciekłaś nam za daleko! Zabieramy cię z powrotem!

- Dokąd?

- Tam, skąd przyszłaś!

Uniosły ją wysoko, wysoko... Zdała sobie sprawę, że frunie nad swoim miastem. Widziała z góry dachy domów, wieże kościoła, wysokie budynki w oddali... Nareszcie jej oczom ukazał się własny dom; podwórce... A po podwórzu biegła ona. Jak wczoraj – tylko tak śmiesznie: tyłem!

Przemknęli nad domem, zatoczyli krąg nad dachami i nadlecieli raz jeszcze. Tym razem wszędzie leżał śnieg, a ona zjeżdżała na saneczkach z pobliskiej górki – zupełnie jak zeszłej zimy... Nie, tym razem wjeżdżała na górkę tyłem, a potem zsiadała z sanek i tyłem schodziła z górki, siadała na sankach i znów wjeżdżała tyłem pod górę...

Zrobili koło i wrócili. Ujrzała siebie – dużo mniejszą, w pobrudzonej sukience, bawiącą się foremkami do piasku. Nakładała je na gotowe babki, odwracała i wybierała z nich łopatką piasek...

Następne koło. Na podwórku mama uczyła chodzić małą dziewczynkę – tę, którą Agnes widziała niedawno w lustrze kredensu. Uczyła ją chodzić do tyłu!

Zawrócili. Jeszcze raz zobaczyła swój dom, z którego jej rodzina akurat wychodziła na spacer. Wszyscy szli wstecz: mama – a z nią... ojciec! I Susan, i Grace, ale jakby mniejsze... Ale gdzie była ona? Spostrzegła, że tata (cofając się, jak wszyscy) ciągnie wózek – identyczny, jaki widziała kiedyś na strychu – a w nim leży nieznane Agnes malutkie dziecko...

Zatoczyli jeszcze jedno koło, lecz tym razem skręcili nad miejski szpital. Wlecieli przez okno do białej sali na parterze, gdzie leżała jej mama... Ale przecież mama nigdy nie chorowała, co więc robiła w szpitalu?!

Leżała i oddychała ciężko, a dwóch biało ubranych panów trzymało coś maleńkiego, różowego, krzyczącego... I raptem wepchnęli to coś w jej mamę, a ona krzyknęła – tak, jakby wciągała powietrze.

Agnes uświadomiła sobie, że znowu leży na wznak w pokoju siostry. Chciała się podnieść, lecz wciąż nie mogła. Nie zmartwiło jej to: skrzydełka poniosą same, wystarczy chcieć latać... Nie wiedziała tylko, skąd z nagła oblewa ją wilgotne ciepło, przyjemne ciepło... Już kiedyś, gdzieś tak było – tylko gdzie i kiedy?

Pokój małał w oczach, a może to ona rosła? Przybliżyły się ściany i sufit, który był teraz wielkim lustrem. Widziała w nim pokój, widziała podłogę... Nie widziała siebie. Ale to już Agnes nie dziwiło. Jej mózg właśnie hamował jak rozpędzona karuzela – aż do zupełnego bezruchu. Na koniec dotknęła szklanej tafli – lecz, zamiast chłodu szkła, poczuła jeszcze więcej miłego ciepła, jak gdyby to nie było szkło, tylko ciepła woda – i już śmiało przeszła przez lustro. Zastygła w jego szkle niby motyl w bursztynie, który dostała kiedyś od babci.

Tak właśnie znalazła ją Grace – leżącą na plecach w kałuży moczu, z bezmyślnym uśmiechem na buzi i nieruchomym wzrokiem wlepionym w sufit. A wokół rozsypane leżały różnobarwne pigułki – jak farbki, jak kredki, jak kolorowe mazaki... Jak motylki na zbyt dużej dla niej sukience.

LEKARSTWO



K. z grupy – poświęcam

– Daj mi *coś na smutek* – szepnęła Karen poprzez ciemność. Zawsze tak *to* nazywała, gdy było jej źle; inaczej nie nazywała *tego* wcale, po prostu kochaliśmy się i nazwa nie była potrzebna. Ale w takich chwilach, jak ta...

Poszukałem jej włosów, wodząc dłonią po poduszce, i odkryłem, że jest mokra – musiało być naprawdę niedobrze. Przyciągnąłem Karen do siebie i zrobiłem wszystko, żeby *lekarstwo* zadziało; by rano wstała radosna jak zwykle. Tym razem nie pomogło.

* * *

Obudziło mnie słońce w oknie naszego pokoju. Nie wstając z łóżka, popatrzyłem przez otwarte okno na podwórko. Nasz stary ford cabrio (to znaczy Karen i mój) błyszczał ciemnoczerwono między czarnym Powerglide'em a białym oldsmobilem i jeszcze kilkoma wozami ludzi z naszej komuny. Obejrzałem się – pudło ustawionej w kącie gitary nie odbijało jeszcze słońca, co znaczyło, że mogę poleżeć chwilę dłużej.

Trwało lato 1971. Mijała pierwsza rocznica naszego bycia razem i drugi tydzień, odkąd zamieszkaliśmy w tym domu.

Począwszy od wakacji '70, gdy Bóg spiknął nas ze sobą, bez przerwy jeździliśmy: ona do mnie – do Nowego Jorku, ja do niej – do Los Angeles. Ale związek na odległość nie ma sensu. W ciągu trzech miesięcy naprzemiennego kursowania między moją a jej uczelnią tak zaniedbaliśmy naukę, że na koniec semestru mogło nie być wesoło. Perspektywa kolejnej nowojorskiej zimy również nie napawała mnie entuzjazmem, przeniosłem się więc na UCLA. Od razu obojgu nam podskoczyła średnia ocen, ratując od zagłady nasze stypendia.

W ogóle „odżyliśmy” finansowo. Przede wszystkim odpadły koszty wiecznego jeżdżenia; wspólne mieszkanie, opłacane „po połowie”, także pozwoliło sporo zaoszczędzić. Do tego w marcu '71 Karen najęła się za przewodniczkę po czasowej wystawie sztuki indyjskiej, ja zaczynałem już to i owo publikować w prasie... I tak w maju kupiliśmy używanego forda.

Pierwsze dwa tygodnie wakacji przepracowaliśmy w niedużej firmie na peryferiach miasta, zajmującej się przerabianiem wody na... ryby. Jak to możliwe? Ano tak: właściciel kupował w hurtowniach mrożone filety, które następnie kazał nam (i jeszcze sześciorgu innym nieszczęśnikom) moczyć w wodzie i mrozić w chłodni, i znów moczyć, i jeszcze raz mrozić... póki ich waga nie wzrosła o co najmniej trzydzieści procent. Tak spreparowany towar opylał supermarketom w cenie „obniżonej” – w porównaniu z proponowaną przez hurtownię – o centa na każdym funcie wagi. Ile na tym zarabiał, nie chcę nawet myśleć, mimo to płacił nam tak nędznie, że na początku trzeciego tygodnia, zmarznięci i wkurzeni, wzięliśmy, co nasze i ozięble pożegnaliśmy pracodawcę. Jak się okazało, w samą porę! Cztery dni później policja zamknęła trefny interes (właściciela również); pracownikom zarzutów nie postawiono, ale oczywiście o wypłacie mogli zapomnieć.

Postanowiliśmy dla odmiany spróbować kariery zawodowych muzyków. Rozsiedliśmy się na chodniku przy Sunset Strip – Karen z bongosami i fletem, ja z gitarą; futerał od tej ostatniej pozostawiliśmy zachęcająco otwarty. Graliśmy standardy folkowe, parę moich piosenek i od czasu do czasu coś z listy przebojów. Więcej z tego mieliśmy zabawy niż pieniędzy, ale przynajmniej nie groziły nam odmrożenia.

Pewnego razu śpiewaliśmy na głosy *California Dreamin'*, gdy sunący Bulwarem Zachodzącego Słońca czarny chevrolet Powerglide zwolnił i zjechał na parking przy klubie „Whisky a Go Go”. Kierowca (długowłosy chłopak niewiele starszy ode mnie) i pasażerka (szczupła dziewczę o nieco krótszych włosach blond) wyraźnie się zaśmiali, a gdy Karen przerwała stukanie w bębny i rozpoczęła solówkę na flecie, oboje wysiedli z auta i podeszli do nas. Od stóp do kołnierzyka ubrani w niebieski džins; dziewczyna nosiła krótką spódnicę (a miała naprawdę ładne nogi i równie śliczne imię: Doris). Kiedy wybrzmiał

ostatni akord, zaczęli z nami rozmowę. Dowiedziawszy się, jak miżerne mamy dochody i ile z tego idzie na mieszkanie, zaprosili nas do swojej komuny. Powiedziałem „swojej” nie bez kozery, gdyż *de facto* byli jej głównymi „sponsorami”. Nie wiem, skąd brali pieniądze, dość, że mieli ich dziwnie dużo, jak na niezależnego dziennikarza undergroundowej prasy (publikującego, dodajmy, sporadycznie) i nigdzie nie pracującą entuzjastkę pływania w oceanie.

Biorąc pod uwagę nasze ówczesne zarobki, znaleźliśmy się w raj. Co prawda trzy pokoje zamieniliśmy na jeden z miniaturową łazienką, lecz kosztował nas zaledwie partycypację w opłatach za dwupiętrowy dom (zamieszkały przez dwadzieścia dwie osoby), plus tak zwana „składkę żywnościową” (za którą raz w tygodniu robiło się zakupy w supermarkecie) – w sumie grosze. Do tego oczywiście udział w pracach domowych, ale i to było niczym w porównaniu z utrzymaniem porządku we własnym mieszkaniu. Rzecz sprowadzała się do uczestnictwa w dyżurach kuchennych w każdą środę (posiłki spożywaliśmy wszyscy wspólnie), codziennego zmywania dwudziestu dwóch kompletów naczyń po śniadaniach i kolacjach (po obiedzie zmywały dwie inne osoby), udziału w „zakupowej delegacji” (rzadziej niż raz w miesiącu) i ewentualnych remontach.

* * *

Moja gitara lśniła w słońcu od ładnych kilku minut. Przemogłem się i wstałem z łóżka, przy okazji zawadzając nogą o mój walizkowy adapter; na szczęście od uszkodzeń chroniła go zapięta na zatrzask pokrywka. Praktycznie go tutaj nie używaliśmy – na parterze, w salonie (pełniącym też funkcję jadalni), czekał wszak zestaw stereo hi-fi dobrej amerykańskiej marki. Ufundowany został oczywiście przez „głównego sponsora” naszej komuny, zwanego przez wszystkich Wodzem. Właśnie ktoś puścił singiel z *Summertime* Janis Joplin. Elektryczny blues na palcach wchodził drewnianymi schodami na nasz strych, po drodze łagodnie budząc tych wszystkich, którzy jeszcze spali.

Łazienkę od dwudziestu minut zajmowała Karen, więc ubrałem się i szedłem na parter, do ogólnodostępnej toalety. Budynek musiał kiedyś służyć za pensjonat lub hotel: zaadaptowane poddasze mieściło cztery obszerne pokoje (w tym nasz), a każde z pięter – sześć.

Do tego na parterze jeszcze dwa (nie licząc kuchni, „zapasowej” łazienki i wspomnianego jadalnio-salonu), zaś w suterenie – pralnia i kolejne trzy izby (w tym jedna na razie pusta).

Gdy wróciłem na górę, słońce wypełniało już blaskiem cały nasz pokój, a zza drzwi łazienki dochodził szum rozczesanej prysznicem wody. Pomny na zdobiące korytarz hasło: „OSZCZĘDZAJCIE WODĘ! KĄPCIE SIĘ PARAMI!” zrzuciłem ubranie, z parapetu wziąłem swój ręcznik, nacisnąłem klamkę, pchnąłem białe drzwi z matową szybą...

I zobaczyłem.

* * *

Zazwyczaj przy porannym zmywaniu Karen i ja śpiewaliśmy w duecie. Wszyscy tak polubili te nasze koncerty, że na ich czas z reguły wyłączano muzykę w salonie, aby nam nie przeszkadzać. Lecz tym razem – zamiast ballad Dylana, Simona i Garfunkela, Donovana, Joni Mitchell – kuchnię wypełniał jedynie chłupot wody, stukot szkła, metalu, porcelany. Dopiero gdy umieściłem w drucianej suszarce ostatni wypłukany talerzyk, i gdy usiedliśmy naprzeciw siebie na grubym, pseudo-berberyjskim dywaniku w naszym pokoju, dziewczyna przerwała ciszę, wiszącą w powietrzu na podobieństwo transportowego helikoptera.

– Chcesz wiedzieć, czy często to robię?

Kiwnąłem głową – choć tak naprawdę wolałbym wiedzieć, czemu przy tym płakała.

Parsknęła śmiechem – krótkim, suchym jak uderzenie w struny fendera Telecastera.

– Żebyś wiedział! Żebyś wiedział, jak często... Żebyś tylko nie był zaskoczony!...

Przytuliłem ją czując, jak mocno jest spięta – całkiem jakbym trzymał w objęciach posąg.

– Posłuchaj – zacząłem. – Jeżeli nie zaspokajam wszystkich twoich potrzeb, to po prostu zwiększymy częstotliwość. Na przykład wieczorem i rano... i kiedy tylko chcesz!

Ostatnie słowa miały przywrócić twarzy Karen uśmiech. Ale nie przywróciły. Nie tym razem.

– Daj spokój, to nic nie da – ucięła. Jeszcze miałem złudzenia, że jestem na właściwym tropie.

- Kochanie – szepnąłem, starając się, by zabrzmiało to uwodzicielsko – może jest coś, czego ci nie robię, a czego bardzo byś chciała? Jeśli tak, to powiedz. Mnie też się pewnie spodoba. Wiesz, jacy my, faceci, jesteśmy zbroczeni...

Popatrzyła w ścianę, popatrzyła w sufit, w okno – byle tylko nie w moje oczy. Znałem ją wystarczająco dobrze, by rozpoznawać bez pudła chwile, kiedy robiła wszystko, żeby nie dać sobie pomóc... Kiedy trzeba było robić wszystko, żeby jej pomóc.

- No dobrze – powiedziałem. – Rozumiem, że nie o to chodzi, więc o co?

Milczenie; coraz bardziej nerwowe rozglądanie się wokoło.

- Mów śmiało, Karen... Przecież wiesz, że cokolwiek...

Odepchnęła mnie jednym zdecydowanym ruchem.

- Zapamiętaj na zawsze – syknęła, wstając gwałtownie. – To, co robisz sobie sama, nie ma nic wspólnego z tobą. Nic ci, k***a, do tego!

- Tak?... A ja myślałem, że nie ma „twoich” i „moich” spraw, tylko...

- Zostaw mnie! Po prostu zostaw mnie w spokoju!

Z wściekłością rzuciła w moją stronę sandałem. Wtedy to do reszty straciłem panowanie nad sobą. Zrobiłem najgłupszą rzecz, jaką mogłem zrobić.

- Dobrze – odparłem. – Zostawię cię w spokoju. Zostawię cię tak, że będziesz usatysfakcjonowana. W ogóle cię zostawię. Zadowolona?

Wyszedłem, zatrzaskując za sobą drzwi.

* * *

- My się chyba nigdy nie zmienimy – usłyszałem w porannym półśnie. Spróbowałem wykonać jakikolwiek ruch, chociaż bolał mnie kark, plecy, krzyż i, jeśli chodzi o ścisłość, całe ciało.

- Piękny mieszczański obrazek – monologował Wódz (bowiem to jego głos mnie obudził). – Mąż pokłócony z żoną, zamiast pogodzić się z nią w łóżku, śpi bez niej na kanapie. I kto to robi? Słuchacze The Doors, widzowie Godarda, czytelnicy Rimmera! Ja już nie wiem, czy cokolwiek nam pomoże...

Sturlałem się z czarnej skórzanej kanapy, stojącej w salonie, na cienki zielony dywan. Na twardym podłożu łatwiej jest wracać do rzeczywistości.

– Nie śpicie razem już prawie od tygodnia – kontynuował niestru-dzenie Wódz. – Jeżeli reszta zacznie brać z was przykład, szlag trafi rewolucję seksualną. Poza tym napięcie między wami jest już takie, że niedługo korki wysiądą w całym domu...

– Ale póki co działają? – jęknąłem, bo do kompletu zaczynała mnie boleć głowa. – To puściłbyś jakąś muzę!

– Co powiesz na bluesa dwóch genialnych Żydów? – zaproponował, podchodząc do szafki z płytami.

– Powiedz raczej: dwóch Einsteinów blues-rocka! – poprawiłem. Z kolumn popłynęło *You're Still My Baby* Barry'ego Goldberga i Mike'a Bloomfielda.

– A co do tej, o którą nie pytasz – podjął Wódz – to wiedz, że wczoraj przepląkała kolejny wieczór. Potem chyba... no, nieważne. I zdaje się, że wymiotowała, lepiej kup jej test. A dziś od rana męczy *Rondo alla turca*.

– Wiesz to od Doris?

– A znasz tu większą plotkarę? Ona ma absolutny słuch. Ostatnio zgłosiła akces na testerkę sprzętu hi-fi i chyba ją przyjmą... To dobrze, w końcu przestanie się nudzić.

On chyba też miał kaca. Poprzedniego dnia odbyła się impreza, na której trochę „przesadziliśmy” z whisky. Bredził później o jakichś ludziach, których zabija i z tego ma pieniądze. Nikt nie brał jego majaczeń serio; Wódz nie wyglądał nawet na dilera narkotyków, nie mówiąc o zabójcy. Przypuszczaliśmy, że ma po prostu bogatych rodziców.

Jakoś przyjąłem postawę pionową i wyszedłem na dwór. Zjechawszy po poręczy schodów białego ganku, znalazłem się na zastawionym samochodami podwórzu. Od ulicy zamykała je metalowa brama, a po bokach, wzdłuż parkanu – dwie grządki różnokolorowych stokrotek zasianych przez Doris. Za bramą czerniała asfaltowa szosa w szpalerze palm. Wokoło wzdłuż i wszerz rozciągało się osiedle jednorodzinnych domków różnego kształtu i wielkości. Swą bielą przypomniały mi dom, w którym Karen mieszkała z rodzicami, gdy ją poznałem. Zabawne: pierwszym miejscem, gdzie wylądowaliśmy razem, była kuchnia...

Dom, w którym po raz pierwszy przegadaliśmy ze sobą wiele godzin, w którym pierwszy raz słuchaliśmy wspólnie muzyki... W którym mieliśmy się po raz pierwszy kochać, ale ostatecznie doszło do tego następnej nocy na łączce, około półtorej mili za stacją benzynową... Dom, wraz z którym o mały włos wylecielibyśmy w powietrze!

Właśnie!... Już prawie zdążyłem o tym zapomnieć... Od czasu, kiedy Karen była ze mną, nie miała ani jednej nieświadomej próby samobójczej! Przez pierwsze miesiące oboje na wszystko uważaliśmy, ale nic złego się nie działo. Nie zostawiała odkręconego gazu, odblokowanego hamulca ręcznego, nie myliła tabletek antykoncepcyjnych z trucizną na szczury... Stopniowo zapominaliśmy o uważaniu – i nadal nie dochodziło do żadnych groźnych sytuacji. Gdy była ze mną...

Złość na Karen powoli mi przeszła, został już tylko żal. Żal do niej – że nie ufała mi na tyle, by być wobec mnie szczerą – ale przede wszystkim żal za byciem z nią. To śmieszne: nawet odmrożone w chłodni ręce wspominałem miło! Karen – zapach porannej herbaty, gotowanego wspólnie obiadu, błysk słońca we włosach podczas przejazdów naszym fordem... A przede wszystkim zapach jej potu w ciemności. Pewność, że jest. Równy oddech, nad którym czuwałem, gdy znów przychodziły te jej złe chwile... Karen, która nagle zamknęła się przede mną na cztery spusty.

Gdybym tylko mógł do niej znowu dotrzeć... Tyle, że nie pozwalała mi na to. Podczas zmywania naczyń była coraz bardziej nerwowa, na każde moje słowo reagowała agresywnie. Przez resztę dnia w ogóle unikała mojego towarzystwa. Później nie tolerowała już nawet moich spojrzeń.

Tamtego skacowanego poranka zmywanie naczyń zakończyła ciśnięciem mi pod nogi ostatniego talerza i opuszczeniem kuchni w wyniosłym milczeniu. Zamiotłem skorupy i wziąłem winę na siebie, ale Wódz powiedział: „Spokojnie, wiem, jakie są kobiety”. Następnie posłał mnie i Harvy’ego z drugiego piętra do supermarketu po cement. Krata balkonu na samej górze – jak stwierdził – niebezpiecznie się obruszała. Przez resztę przedpołudnia aż do obiadu we trzech z Wodzem i Harvym wrywaliśmy ją z muru. Popołudnie do samej kolacji zajęło nam dokładne wyczyszczenie barierki z rdzy i osadzenie w świeżym cemencie; na następną dzień planowaliśmy jej odmalowanie.

* * *

Kąpiel po robocie wzięłam na parterze. W zasadzie mógłbym pójść na górę i skorzystać z łazienki w pokoju, którego teoretycznie wciąż byłem współlokatorem – tyle, że wolałem nie wchodzić Karen w drogę. Spod prysznic wyszedłem z mokrymi włosami, nigdy po umyciu nie udawało mi się dokładnie ich wytrzeć. W holu napotkałem Wodza.

– Idź na górę – powiedział – i przypilnuj, żeby nikt nie wchodził na balkon. Ostrzegaj każdego, kogo spotkasz. Podczas kolacji powiadomię wszystkich.

Poszedłem, gdzie kazał. Po drodze ostrzegłem Davida i Donnę na pierwszym piętrze, Charline – niską, zawsze rozchichotaną brunetkę – w korytarzu; na drugim piętrze Duane’a i Edith, na schodach jeszcze jedną Edith... Miałem nadzieję, że nikt nie zdążył wejść na balkon.

A jakże – ktoś zdążył! Oparta o balustradę stała nad przepaścią, której istnienia nie podejrzewała, ubrana w pomarańczową sukienkę... Karen! Ramiona okryła kolorową cygańską chustą, którą dostała ode mnie po pierwszej wspólnej nocy. Włosy dziewczyny muskało zachodzące słońce, przemieniając je w pryzmaty. Miękki beton powoli ustępował pod naciskiem barierki...

Chwyliłem ramię dziewczyny. Szarpnąłem wstecz. Oboje upadliśmy na parkiet. Minęło kilka sekund, nim Karen uświadomiła sobie, co się stało i za czyją sprawą.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła na mnie. – Zwariowałaś?!

– Karen... – zacząłem, ale nie dała mi dojść do słowa.

– Mówiłam: zostaw mnie w spokoju! A ty nic, tylko się mnie czepiasz! – Wstała jak z procy. – To, co teraz zrobisz...

Szybkim krokiem ruszyła ku schodom.

– Zobaczysz, jak cię załatwię! Zobaczysz!

Powtarzając w kółko „Zobaczysz!”, zbiegała w dół. Chciałem ją dogonić, ale wpieryw należało zadbać o bezpieczeństwo. Do zamkniętych uprzednio drzwi balkonu przykleiłem kartkę, na której wykaligrafowałem ogromnymi literami: „NIE WCHODZIĆ! PORĘCZ OBLUZOWANA”.

Zszedłem na parter. Z salonu, gdzie sopranowa wokaliza Loulie Norman obwieszczała zakończenie kolejnego odcinka *Star Trek*, na spotkanie wyszedł mi Wódcz.

- Ja mam dość – jęknął. – Najpierw romulański statek bojowy, a potem twoja kobieta! Wpadła jak torpeda fotonowa w sam środek przygotowań do kolacji. Żądała wywalenia cię z komuny za napastowanie seksualne.

- Ale...

- Spokojnie, wszystko wiem! Opowiedziała nam całą scenę, jak by nie było, balkonową. A propos: bardzo obruszała tę barierkę?

- Będzie trzeba osadzać na nowo.

- Niech to chu... dy byk!... No dobra, ważne, że nic się złego nie stało. A wracając do Julii: w końcu jakoś dała sobie wytłumaczyć, co i jak. Zrobiła się czerwona jak wasz ford i uciekła na dwór.

Wypadłem na ganek, ale w podwórzu Karen nie było, więc przez hol wbiegłem do salonu. W telewizji zaczął się dziennik – helikopter wysadzał desant w środku dżungli. Cała nasza komuna (poza dyżurem kuchennym), ubrana džinsowo-zamszowo-kwiatowo, oczekiwała kolacji przy dwóch podłużnych stołach, rozstawianych na czas posiłków. Nikt nie odzywał się ani słowem, widocznie jeszcze nie minął szok. Pora na komentarze przyjdzie później...

- Czy ktoś wie, gdzie ona poszła?

- Wybiegła za bramę i tyle ją widzieliśmy – odparł niejaki James Fox, zamieszkały na parterze. – Poczekaj! Sama się zgubiła, sama się znajdzie!

Wolałem na to nie liczyć. Wróciłem na podwórko, próbując ułożyć w głowie jakikolwiek plan poszukiwań. Forda nie wzięła – czerwieniał jak zawsze obok czarnego Powerglide'a. Wskoczyłem za kółko i odpaliłem silnik.

Dokąd zwykle ucieka kobieta? Wiadomo: do rodziców. Spróbowałem wyobrazić sobie mapę. Z geografii zawsze miałem trójce, ale tu nie było się nad czym zastanawiać: Karen musiała pójść w lewo. Należało ją znaleźć, zanim złapie jakiś samochód.

* * *

Chyba jeszcze nigdy – w każdym razie od ukończenia kursu prawa jazdy – nie rozglądałem się tak uważnie na wszystkie strony podczas prowadzenia samochodu. A jeśli się myliłem?... Jeśli – zamiast uciekać do mamy – poszła się upić albo zaćpać... Albo...

Osiedle zostało za mną, nim w oddali mignęło coś jakby chusta Karen. Przyspieszyłem. Tak, to była ona! Zapłakana biegła lewym poboczem szosy. Zatrzymałem wóz.

– Czego jeszcze chcesz? – wyrzuciła z siebie z udawaną złością, za którą niezdarńie skrywała niepewność. – Zrobiłam z siebie idiotkę przed wszystkimi, a ty zostałeś bohaterem! Możesz mieć każdą!

– Jest mały problem – rzekłem, odmykając prawe drzwi. – Nie chcę każdej, tylko ciebie.

– Tak? No, to ci się odechce.

Obeszła samochód od tyłu. Wsiadła, ale tak, by jej prawy sandał nie stracił kontaktu z asfaltem.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, co jest grane? – podjęła, a ja przytaknąłem. – No, to wyobraź sobie... albo lepiej sobie nie wyobrażaj... tatuśka, który zdejmuje kilkuletniej córce majteczki... Wsadza ręce pod jej spódniczkę... Wpycha palce tu i ówdzie... Szepcze jej do uszka inspirujące zdania w rodzaju „Ty śliczna mała dziwko” albo „Będzie z ciebie niezła kurewka”... Jakies resztki sumienia chyba miał, bo w końcu sam sobie wymierzył najwyższy wymiar kary. Powiesił się na werandzie.

– Zaraz... Mówiłaś zawsze, że twój ojciec jest lekarzem...

– To nie jest mój biologiczny ojciec. Ale... jeśli ktoś zasługuje, żeby go tak nazywać, to on.

Rozplakała się znowu. Spróbowałem ją przytulić – nie pozwoliła.

– Czekaj! – chlipnęła. – Jeszcze wszystkiego nie wiesz. Ja nie potrafię tego zapomnieć. To powtarza mi się w głowie jak zacięta płyta. I... – szloch uniemożliwił jej na chwilę mówienie. – I ja powtarzam to w kółko... i nie mogę przestać. Najpierw robiłam to sama, a jak poszłam na studia... To już z byle kim, byle gdzie... Śliczna mała dziwka... W publicznych kiblach... Na śmietnikach... Niezła kurewka... P*****y mnie najgorsze lumpy, drobni śmierzący pijackowie... Żadnej przyjemności, tylko ból... Potem szłam do siebie i rzygałam na własne odbicie w lustrze...

Długo nic więcej nie była w stanie powiedzieć poprzez łzy.

– Już się mnie brzydzisz – wykrztusiła wreszcie – czy chcesz więcej?

Bardzo pragnąłem się nią brzydzić, wstręt uprościłby wszystko – ale nie przychodził. Tylko współczucie... i nieznośna, nie do powstrzymania czułość. I jeszcze resztki żalu:

- Więc... ja byłem kolejnym... zastępstwem za twego tatuśka?..
- Nie! - powiedziała z mocą, zdejmując nogę z asfaltu i zatraskując
drzwi. - Ty byłeś inny niż on. Byłeś jego zupełnym przeciwieństwem.
Zamilkła na chwilę.

- Bardzo mi przykro, ale nie ułatwię ci puszczenia mnie kantem -
kontynuowała, zmieniawszy ton na sztucznie obojętny. - Nie myśl też
sobie, że nie próbowałam związków! Tyle, że żaden nie przetrwał
trzech miesięcy... I jeszcze jedno: odkąd cię poznałam, byłeś tylko ty.
Ostatnią powtórkę z tatuśka miałam pół dnia przed naszym pierw-
szym spotkaniem. Kolejne powtórki robiłam sobie sama. To także był
tylko ból... Dlatego przy tym płaczę, jeśli chcesz wiedzieć.

W mojej głowie wszystko mieszało się jak w bębnie kalejdoskopu.
Jeden po drugim przemykały obrazy - wyblakłe slajdy zapamiętane
z wykładów o historii kultury. Średniowieczni biczownicy... Asceci le-
żący w brudzie, w rynsztoku... Szukający odkupienia w upodleniu.

Przytuliłem Karen - już się nie opierała... Całując ją i głaszcząc mó-
wiłem, że będzie dobrze... Będzie dobrze... Było dobrze. Za miastem,
na rozłożonych siedzeniach naszego forda, pod zasuniętym przezor-
nie płóciennym dachem...

* * *

Nim przyjechaliśmy do naszej komuny, zdążyło się ściemnić. Powi-
tały nas dochodzące z wnętrza domu miarowe, głuche uderzenia sek-
cji rytmicznej, nad którymi górowała świdrująca harmonijka ustna.
Wódz czekał na ganku z kieliszkiem czerwonego wina w ręce.

- Nowa płyta Led Zeppelin - wyjaśnił. - Zdążyliście na ostatni ka-
wałek, moim zdaniem najlepszy. Aha, naczynia już z Doris pomyliśmy.
Wszystko w porządku, ważne, że jesteście. Wchodźcie!

W ciemnym salonie parę osób - zahipnotyzowanych muzyką,
a może po prostu pijanych - siedziało na kanapie, reszta pulsowała
w powolnym płasie. Kilkoro uśmiechnęło się na nasz widok; ktoś pró-
bował mówić coś do nas, ale ciężki, dudniący rock zagłuszał wszystko.
Dołączyliśmy do tańczących - najpierw niepewnie, sztywno, a potem
muzyka wzięła nas w posiadanie, wykręcając nasze ciała w serii kon-
wulsyjnych wygibasów - przy *When the Levee Breaks* inaczej tańczyć
się nie da. Podczas gitarowej solówki oboje zaczęliśmy wyć. Dosłownie!

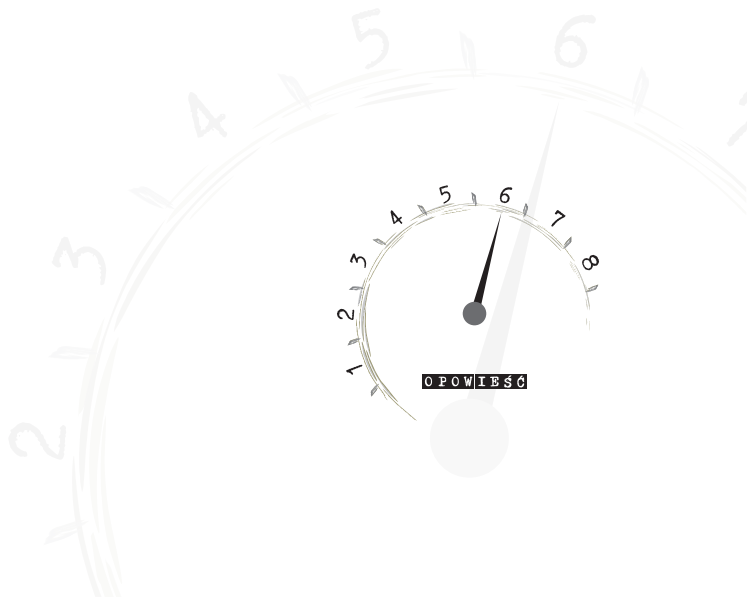
Nie pamiętam już, które pierwsze zaczęło. Ze śmiechem wyliśmy do siebie nawzajem, do wszystkich naokoło, do skrytego za sufitem księżycy... Wilk z wilczycą w stepie.

* * *

Po tygodniach poszukiwań znaleźliśmy psychoterapeutę będącego „na naszą kieszeń”. Swój człowiek – ledwie o kilka lat od nas starszy, świeżo po studiach, z Laingiem i Grofem w podręcznej biblioteczkę... Karen musiała do niego chodzić przez ponad rok, nim w końcu wyłączyła zaciętą płytę w swojej głowie.

Na świecie jest zbyt wiele wspaniałej muzyki, by warto było w kółko odtwarzać sobie koszmarnie bajki z dzieciństwa. Miłość zaś smakuje najlepiej, gdy nie musi być lekarstwem na nic.

FIDO



Ojcu

Jakiej właściwie rasy był Fido, tego Mark Andrews nigdy nie potrafił ustalić. Wydłużony, trójkątny pysk przypominał mordkę jamnika, lecz budowa reszty psiego ciała mogła przywołać na myśl raczej pudła – jeśli ktoś zgodzi się na łysego pudła. Zresztą – czy mówienie o rasie miało jakikolwiek sens w przypadku Fido? W każdym razie ludzie na ulicy już dawno przywykli do jego, bądź co bądź, niezwykłego widoku. Mark szedł alejką, a Fido tuptał przy jego prawej nodze. Październikowy ranek był słoneczny i ciepły – podobny zapowiadano cały dzień.

Alejka się kończyła, a wraz z nią park. Fido spojrzał tęsknie na jakieś drzewko, więc Andrews podszedł tam z nim, dał Fido chwilkę czasu na podniesienie tylnej łapki – i poszli dalej.

U wylotu alejki stała panienka ze śliczną suczką rasy pekińczyk. Psiak spojrzał na tę ostatnią jeszcze tęskniej niż na drzewko, ale Mark pokręcił tylko głową: – Nie teraz, piesku, nie teraz! – i pies, acz niechętnie, podreptał dalej u boku swego pana.

Wyszli z parku na ulicę – i tu, jak zwykle od kilku miesięcy, zaczęły się kłopoty. Fido, zamiast posłusznie towarzyszyć właścicielowi, spróbował skrócić na prawo, w boczną uliczkę. Mark spieszył się. Rzucił coś w stylu: „Nie tędy, piesku!” – i pociągnął psa za sobą w przeciwnym kierunku. Zwierzak usiłował pociągnąć go w swoją stronę, ale tylko szorował łapkami po chodniku. Po chwili, zrezygnowany, znów dyrdał przy prawej nodze Marka.

Wydział Lalkarstwa Szkoły Teatralnej mieścił się w białym wiktoriańskim pałacyku. Budynek miał dwa piętra, Mark wykładał na pierwszym.

Wszedł do budynku, przywitał się z portierem (przed którym Fido szarmancko szastnął łapami), obaj panowie wymienili zdawkowe uprzejmości na temat powakacyjnej opalenizny, a następnie Mark zaczął wspinaczkę po marmurowych schodach. Fido zwinnie wskakiwał na kolejne stopnie, zawsze przy prawej nodze swego właściciela.

Na piętrze Andrews zastał kilka niedużych grupiek studentów, czekających na wykłady. Jeden z marionetkarzy ćwiczył akurat etiudę ze strusiem: ptak próbował wejść na stojącą obok niego skrzynkę, a gdy wreszcie dopiął swego, pudełko okazywało się być pozbawione wieka i biedny struś wpadał do środka.

– Cześć! Co tam u was, trupiarze? – zagadnął, podchodząc, jakiś inny student. Zapewne był kukiełkarzem, gdyż to oni nazywają marionetkarzy trupiarzami. Uważają, że całkowicie podporządkowując sobie lalkę, marionetkarz nie pozostawia jej „swobody manewru” i tym samym pozbawia ją życia...

– A, w porządku, kukiełkarzu – odparł właściciel strusia. – Właśnie mam nową lalczkę. Może spróbujesz?

Kukiełkarz ujął w dłonie krzyżaki – dwa drewniane krzyże z przywiązanymi nitkami. Struś zaczął tańczyć jakiś obłąkany taniec z jedną nogą zataczającą w powietrzu koła i głową walącą w podłogę raz za razem. Cały korytarz zaniósł się śmiechem i upokorzony nieszczęśnik zrozumiał wreszcie, dlaczego marionetkarze uważani są za lalkarską arystokrację.

Mark też zachichotał. Wyjętym z kieszeni kluczem otworzył salę wykładową i gestem lewej ręki zaprosił studentów do środka. Gdy wszyscy usiedli na swych miejscach, wszedł z Fido na podest i uklonił się.

– Witam czcigodnych adeptów marionetkarskiego fachu. Najprawdopodobniej wszyscy państwo znają moje nazwisko, ale i tak się przedstawię. Jestem profesor Mark Andrews. Przedstawiam wam też mojego asystenta. Fido, pokaż się! – zawołał obwąchującego katedrę psiaka, naciskając jednocześnie ukryty w rękawiczce guzik.

Fido, przy akompaniamencie bzyku elektrycznego silniczka związającego nitki, z gracją wskoczył na blat katedry. Sala odpowiedziała oklaskami. Podczas gdy pies, posłuszny ruchom ręki Marka, gmerał po blacie, drewnianym nosem obwąchując mikrofon i leżące książki, profesor kontynuował:

- Na pierwszym roku opanowaliście podstawy kierowania marionetką. Teraz ja nauczę was czegoś więcej. Nauczę was panować nad lalką tak, jak panujecie nad własnym ciałem.

- Zawsze sądziłem i nadal sądzę – mówił dalej – że, wbrew temu co sądzono do tej pory, d o s k o n a ł e panowanie nad lalką nie powinno wymagać całkowitej koncentracji. Aktor grający w teatrze nie musi przecież skupiać się na tym, żeby chodzić po scenie i nie upaść, prawda? Odkąd rodzice go nauczyli, chodzi nie zastanawiając się nad tym; robi to p o d ś w i a d o m i e !

- ...Krótko mówiąc, postanowiłem nauczyć moją podświadomość sterować ruchami Fido tak, jak nauczono ją poruszać moimi nogami. W tym celu, w miejsce zbyt absorbujących uwagę tak zwanych krzyżaków, wynalazłem r ę k a w i c z k ę z wszytym stelażem. Jak widzicie, daje ona możliwość swobodnego poruszania marionetką przy użyciu j e d n e j r ę k i. Choć konstrukcja ta jest wyjątkowo prosta, nie podejmuję się opisać jej słowami, dlatego radzę patrzeć uważnie. W jaki sposób nauczyłem swoją podświadomość animacji marionetki i w jaki sposób wy tego dokonacie, dowiedziecie się z moich wykładów i ćwiczeń. System ten jest niezawodny i ma jedną jedyną wadę, mianowicie umożliwia animację tylko jednego typu marionetki: albo czworonoga, albo ptaka, albo postaci ludzkiej. Inaczej mówiąc, będziecie musieli się wyspecjalizować. Chyba, żeby ktoś z was przyuczył swoją lewą rękę do psa, a prawą do strusia. Mnie się to jak dotąd nie udało, tak więc wszystko przed wami, droga do profesury stoi otworem...

Mark zawsze mówił dowcipnie – tak, by studenci go słuchali. Fido tymczasem zeskoczył z blatu – znów dał się słyszeć szum silniczka – i jego uwagę pochłonęło obwąchiwanie wykładowiny.

Wykład dobiegł końca przed czasem. Mark miał umówione spotkanie, a nie lubił się spóźniać. Pożegnał studentów i wraz z Fido wyszedł z sali. Na korytarzu dwoje marionetkarzy, chłopak i dziewczyna (chyba z trzeciego roku), podrywało się wzajemnie „na psy”: ich drewniane czworonogi krążyły wokół siebie, obwąchując jeden drugiego. Niestety, nie mogły sfinalizować swych zalotów (groziłoby to poplątaniem nitki), Mark był jednak spokojny, że właściciele wyręczą je w tym znakomicie. On i Fido zbiegli po schodach – pies skakał

po stopniach z godną podziwu wprawą – i wyszli z budynku, ukłoniwszy się portierowi.

Na ulicy psiak znowu przestał być posłuszny. To znaczy był posłuszny, ale do czasu. Gdy mijali boczną uliczkę, w którą rano starał się skręcić, dał znienacka nura w jej stronę i gdyby nie był marionetką, jak nic uciekłyby swemu panu, ponieważ jednak nią był, jego łapki znów tylko zaszorowały po płytach chodnika. Mark nie miał czasu nigdzie skręcać, miał umówioną wizytę u lekarza.

* * *

Po raz pierwszy w życiu Mark poszedł do psychiatry. W dzieciństwie, owszem, rodzice zaprowadzili go do psychoanalityka – zaniepokojeni, że ich syn bawi się lalkami (co zresztą zostało mu na całe życie) – lecz teraz to już nie były żarty...

– Panie doktorze – zaczął – wiem, że uzna mnie pan za wariata, ale... Ja mam kłopoty z Fido... To znaczy z moją marionetką – wskazał na baraszkuje po podłodze psa.

– Pan jest lalkarzem? – zainteresował się doktor Wilson, próbując udawać, że nic go nie dziwi.

– Tak, dokładniej marionetkarzem. Jestem też profesorem w szkole teatralnej...

– Zaraz, a czy ja pana skądś nie znam? – przerwał mu nagle specjalista.

– Pewnie pan zna – z uśmiechem odparł Mark – ale byłem wtedy młodszy. Występowałem z Fido w lokalnej stacji telewizyjnej. Wie pan, dorabiałem... Przedtem, zanim zrobiłem doktorat.

– *Spacery z Fido?*

– To był mój cykliczny numer w *Show po osiemnastej* – potwierdził Mark.

– Tak, pamiętam... A na czym właściwie polegają pańskie kłopoty?

– Otóż... Tego... – Mark nie wiedział, jak zacząć, by tamten właściwie go zrozumiał. – Ja stworzyłem taką teorię podświadomego kierowania marionetką. Zresztą to był temat mojej pracy doktorskiej...

– Zaraz, zaraz! – po raz drugi wtrącił się psychiatra. – Czy mógłby mi pan przypomnieć swoje nazwisko?

– Mark Andrews.

- Przecież ja to czytałem! - palnął się w czoło psychiatra. - *Rola podświadomości w animacji marionetek, czy tak?*

- Dokładnie. Interesuje pana teatr lalek?

- Interesuje mnie wszystko, co ma związek z psychologią i psychiatrią - odparł lekarz. - A pańska praca jest naprawdę interesująca, choć może nie całkiem fachowa... O ile pamiętam, nauczył pan swoją podświadomość ożywiania marionetki tak, że nie wymaga to od pana koncentracji uwagi...

- Właśnie. Kieruję lalką w taki sposób, jakby to była część mego ciała. Chcę, żeby szła i ona idzie. Bez uważania na każdy ruch i każdą nitkę, nawet bez patrzenia...

- Rozumiem, rozumiem. Nie musi pan tłumaczyć, wszystko już pamiętam. Hmmm... A na czym w takim razie polega pański problem?

- Otóż... Widzi pan... - Mark był lekko speszony. - Ja starałem się jak najbardziej uwiarygodnić postać Fido. Wie pan, obwąchiwanie wszystkiego, symulacja oddawania moczu...

- Podnosi nogę - przytaknął pan Wilson.

- Pamięta pan z telewizji? Tak, podnosi nogę pod drzewkiem. Reaguje też na suczki. Wyrobiłem kilka takich odruchów.

- I...?

- To zaczyna mi się wymykać spod kontroli. Od mniej więcej pół roku Fido... to znaczy moja ręka reaguje sama. Niezależnie od mojej woli, czasem w sposób całkiem nieprzewidywalny... Już po raz nie wiem który Fido próbuje skrócić w inną stronę niż ja idę. A przecież to tylko moja ręka...

- ...I pańska podświadomość.

- Fakt.

Wiele razy myślał już o tym. Ale za nic nie przyznałby się - ani lekarzowi, ani sobie - że coraz częściej patrzy na swego Fido z... zabobonnym lękiem.

- Od dawna jest pan lalkarzem? - chciał wiedzieć doktor Wilson.

- Zacząłem jeszcze w podstawówce - odparł Mark. - Potem całe liceum, college... W szkole teatralnej studiowałem animację marionetek, dużo występowałem. Wtedy właśnie stworzyłem moją teorię i skonstruowałem Fido, by ją zastosować. Później poświęciłem się karierze

naukowej, ale Fido nadal mi towarzyszył... Praktycznie bez przerwy. Bo ja, rozumie pan, wszędzie z nim chodzę. Nauczyciel powinien praktykować to, czego uczy...

– Zgadzam się – odparł psychiatra. – Hmmm... – próbował robić dobre wrażenie, nie bardzo wiedząc, co rzec. – Taaak... Jak rozumiem, animuje pan... Tak to się nazywa? Animuje pan Fido od bardzo dawna. Czy nie byłoby dobrze od niego odpocząć?

– Ależ...

– Rozumiem, praktyka. Ale, o ile dobrze rozumiem, żyje pan z pracy na uczelni, nie z występów, zatem... Niech pan na jakiś czas przestanie, hmm, animować Fido. Mam wrażenie, że jest pan już tym zmęczony.

Pożegnali się. Doktor Wilson odetchnął z ulgą po wyjściu kłopotliwego pacjenta. Mark, wróciwszy do domu, natychmiast schował Fido wraz z rękawiczką na dno najniższej szuflady biurka.

* * *

Stanął za katedrą i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów oparł o nią dwie wolne ręce.

– Drodzy Państwo! – rzekł do studentów. – Pozwólcie, że przedstawię wam mojego asystenta... Nie, nie tego, którego już państwo znacie – wyjaśnił z uśmiechem. – Fido jest, jak Państwo widzą, nieobecny, gdyż wyjechał na dawno zasłużony urlop. Przez jakiś czas w moich wykładach uczestniczyć będą dwie inne osoby. Przedstawiam państwu mojego d r u g i e g o asystenta, adiunkta George’a Mighty, oraz jego kotkę Dianę! – profesor skinął w stronę otwartych drzwi. Do sali wszedł naburmuszony George, wyraźnie niezadowolony z roli „drugiego asystenta”. U jego prawej nogi sztywno stąpała obszyta czarnym pluszem Diana. Oklaski, które się rozległy, sprawiały wrażenie cokolwiek wymuszonych.

Zamknięty w szufladzie Fido nie mógł, niestety, zaprotestować ani przeciwko takiemu widowisku, ani przeciw swemu położeniu. Dał więc po prostu swemu panu czas do namysłu. Całe trzy dni.

* * *

Trzy dni później był piątek. Mark jadł właśnie obiad w uczelnianej stołówce, gdy zaboląa go prawa ręka. Nagły kurcz. Dłoń zadrżała. Zupa jarzynowa, nabrana właśnie z talerza, rozchlapała się po blacie

stolika. Brzęknęła upuszczona łyżka. Ten ból promieniował chyba z nadgarstka. Profesor chwycił się lewą ręką za bolące miejsce i spróbował rozetrzeć skurcz. Ból ustąpił. Mark odetchnął z ulgą. Starł rozlaną zupełną chusteczką higieniczną i znów przystąpił do jedzenia.

Tamtego dnia objawy już nie powróciły. Nazajutrz skurcz powtórzył się dwa razy...

* * *

Ból w prawej ręce nie ustępował. Mark siedział na ławce w korytarzu. Do początku wykładu zostało jeszcze kilka minut. Od trzech tygodni cierpiał na niedowład ręki i te przeklęte bóle... Rękę miał sztywną i jakby zdrętwiałą. Czasem ni stąd, ni zowąd wpadała w drgawki... Różni lekarze próbowali stawiać różne diagnozy – a to nerwobóle, a to reumatyzm, a to lichy wie co – ale żaden nie umiał znaleźć skutecznej terapii. Objawy, zamiast ustępować, ciągle się nasilały.

Nie tylko ból doskwierał Markowi. Bardziej cierpiał z powodu upokorzenia. Zawiodło go to, czego zawsze był w życiu pewien: jego dłoń lalkarza. I gdyby to był jeszcze jakiś zwykły paraliż, którego przyczyna byłaby znana! Ale nie, najlepsi specjaliści rozkładali ręce. Wszystko powinno być w porządku – poza tym, że nie jest.

O powrocie do animowania marionetek nie mogło być oczywiście mowy. Mark nadal prowadził wykłady i ćwiczenia, ale w praktycznych demonstracjach wyręczał go asystent.

By zapomnieć o bólu, Mark przyglądał się studentce ćwiczącej etiudę z postacią ludzką – najtrudniejszą z etiud na ten typ marionetki. Mały drewniany człowieczek przechadzał się wokół nóg dziewczyny, badając teren na którym przyszło mu egzystować – świat ograniczony zasięgiem rąk lalkarki. Chodził, biegał, skakał – żył, poznawał świat. Aż nagle... spróbował pójść dalej. Wyjść poza to, co znane. Przeszedł kilka kroków – i odkrył, że dalej nie można. Przez chwilę nadal poruszał się po swej życiowej przestrzeni – teraz trochę bardziej nerwowo. Potem spróbował uciec w inną stronę – znów nic z tego: coś go powstrzymało.

Chwila zastanowienia – dłoń przy czole... Co mu przeszkadza? – obejrzał uważnie swe ręce i nogi – ...aha, nitki! A dokąd prowadzą nitki? Do góry... Ludzik spojrział w górę i – zrozumiał.

Nadszedł czas wykładu – Mark powlókł się do sali. Po zajęciach był umówiony z kolejnym lekarzem.

* * *

Ani ten, ani następny lekarz nic nie umiał poradzić. Każdy przepisywał rozmaite medykamenty, które „na pewno” miały pomóc – tyle, że nie pomagały. Ból nasilał się, Mark coraz bardziej tracił władzę w sztywniejącej ręce; w końcu bolała już tak, że musiał pójść do szpitala na oddział neurologiczny. Obowiązki wykładowcy z konieczności przejął asystent.

Trzeba powiedzieć od razu, że w szpitalu sytuacja nie uległa żadnej zmianie, poza dalszym potęgowaniem się objawów niezidentyfikowanej choroby. Pacjentowi podawano środki przeciwbólowe – lecz to także skutkowało jedynie częściowo. O tyle, że mógł zasnąć.

* * *

Mark obudził się w białym łóżku pośród białych ścian separatki i po raz pierwszy w życiu pomyślał, że wolałby nie mieć prawej ręki. Ręki, z której niegdyś żył i dzięki której został profesorem. Ręki, która teraz nie była przydatna na nic poza przysparzaniem mu wciąż nowych cierpień.

Na uczelni wszyscy studenci dopytywali się, kiedy wróci profesor Andrews. Adiunkt Mighty okazał się wyjątkowo marnym wykładowcą, a jego wykłady – ogólną nudą. Również praktyczne pokazy wypadały blado: nie umiał ani w połowie tak naturalnie jak Mark ożywić swej marionetki i już co zdolniejsi studenci zapędzali go w kozi róg. Za co asystent, człowiek psychicznie niedojrzały i okropnie zakompleksiony, gnębił ich jak tylko potrafił – a trzeba przyznać, że to jedno akurat wychodziło mu znakomicie. Zaowocowało to kilkoma interwencjami dziekana i jednokrotnym postawieniem adiunkta przed komisją dyscyplinarną, przez co wszyscy zainteresowani mieli coraz bardziej dość zaistniałej sytuacji.

Najbardziej dosyć miał Mark. Otaczali go lekarze, którzy robili bardzo mądre miny i udawali, że mówią bardzo mądre rzeczy. Używali wielu uczonych wyrażań, a z ich ogromnie zawiłych wypowiedzi wynikało niezbicie, iż mimo swej medycznej wiedzy nie mają pojęcia, co właściwie choremu dolega. Przez co leczyli go, jak zwykle w takich

wypadkach, metodą prób i błędów – mając nadzieję, że w końcu coś pomoże i diagnoza zostanie postawiona „po fakcie”. Na razie jednak na nic takiego się nie zanościło – ale to, jak zapewniali, tylko na razie.

O tym wszystkim rozmyślając, obolały Mark bezskutecznie usiłował ponownie zasnąć, gdy do jego separatki weszła młodzietka pielęgniarka – niska, szczupła brunetka o urodzie z lekka azjatyckiej – dziwnie rozpromieniona.

– Ktoś do pana przyszedł... – rzekła, z trudem starając się mówić spokojnie.

– Kto, do cholery? – jęknął, zamierzając poprosić grzecznie, aby odprawiła nieproszonego gościa do wszystkich diabłów.

– To jest... Jeff Yearboot! – odparła drżącym głosem dziewczyna.

– Jeff? – powtórzył z niedowierzaniem. – On jeszcze o mnie pamięta? Proszę, niech wejdzie!

Jeffa Yearboot’a, wąsatego bruneta o niskim głosie i absurdalnym poczuciu humoru, poznał w czasie swych niegdysiejszych występów telewizyjnych. Zespół rockowy Healer The Killer, którego wokalistą, gitarzystą i liderem był Jeff, często pojawiał się wówczas w tym samym show lokalnej stacji, co Mark ze swym Fido. Jeff i Mark szybko zostali kumplami. Wiele godzin przesiedzieli razem w telewizyjnej kawiarence oraz wszelakich barach i knajpach, dyskutując o muzyce, teatrze, podświadomości i mistyce. Zresztą to właśnie Jeff wpadł na pomysł zastosowania silniczka zwijającego nitki, dzięki któremu to usprawnieniu Fido mógł odtąd wskakiwać na stół i zeskakiwać z niego, a Mark, siadając, nie musiał unosić ręki.

To były dawne dzieje. Yearboot ze swym zespołem wyjechał potem do Kalifornii, gdzie udało mu się podpisać kontrakt płytowy. Mark również miał otwartą drogę do show-businessu, ale ostatecznie wybrał karierę naukową: zrobił doktorat, niedługo później został profesorem. Healer The Killer zyskali tymczasem status ogóln amerykańskich, a następnie ogóln światowych gwiazd z dyskografią obejmującą prawie same Platynowe Płyty (prawie – gdyż ostatnia, *Comma*, zyskała niedawno status Diamentowej). Prawdopodobnie Jeff musiał rozdać co najmniej kilkanaście autografów, zanim trafił do Marka. O ile wystarczyły same autografy! – Mark miał wrażenie, iż dostrzegł w kieszeni fartucha pielęgniarki charakterystyczny kształt pudełka z płytą kompaktową...

Siostra wyszła z separatki. Zaraz potem w drzwiach ukazała się długowłosa postać z wielkimi wąsami i niedużą bródką, niby muszkieter z XVII-wiecznej Francji, który zamienił swój płaszcz i kryzę na czarny sweter i białe spodnie. Frontman grupy Healer The Killer, używający czasem pseudonimu „Killer Prior”, nie zmienił wizerunku scenicznego od czasów *Show po osiemnastej*.

– Mark! – jęknął Jeff. – Jak ty wyglądasz?!

– Na chorego – wystękał Mark. – Wybacz, że ci nie podam ręki, ale...

– Tak, wiem – spoważniał rockman. – Mówił mi lekarz.

– Ten rudy?

– Nie, taki siwy.

– Też dobry – rzekł Mark z ironią w głosie. – Jeszcze jeden cymbał. Leczy mnie, a nawet nie wie, co mi jest. A... Jak ty mnie tu znalazłeś?

– Zrobiłem sobie urlop – odparł Jeff – i postanowiłem odwiedzić starego kumpla. Szukałem cię na tym twoim uniwerku i usłyszałem, że jesteś tutaj...

– Ano, jestem – westchnął Mark czując, że ręka znów drży i cierpienie. – Usiądź sobie, co będziesz stał!

Jeff usiadł na stojącym obok łóżka krześle, w ostatniej chwili powstrzymując się od zapalenia papierosa, i spróbował zmienić temat:

– Żonę masz?

– Nie, tak jakoś...

– Mark, ty stary świńtuchu! – pogroził mu palcem Jeff. – Ze studentkami się zabawiasz, nie wstyd ci? – po czym roześmiał się sztucznym, barytonowym śmiechem.

– Wolę absolwentki – odrzekł Mark. – Ale teraz, sam widzisz, jestem do niczego. Nawet pielęgniarki nie chciałyby pana profesora...

– Facet! – ofuknął go gwiazdor rocka. – Czyś ty się nie zanadto wczuł w rolę starego profesorka? Przecież ty, geniuszu, masz dopiero trzydzieści sześć lat! Ja mam o rok więcej, a nie strugam z siebie starego rock-and-rollowca!

– To opowiedz lepiej, co u ciebie – poprosił Mark – bo siebie mam już dość!

I Jeff zaczął mówić – o płycie, którą Healer The Killer właśnie skończyli nagrywać; o fanach, którzy są fajni choć natrętni; o dolach i niedolach

podczas tras koncertowych; o kobiecie, którą ostatnio poznał i która być może jest właśnie jego Drugą Mistyczną Połówką, której przez całe życie szukał; o wspaniałej przedwojennej gitarze, kupionej w jednym z antykwariatów na Południu... Opowiadał przez godzinę i Mark zapomniał wreszcie na chwilę o swych katuszach.

Obaj mężczyźni stwierdzili, że po tych wszystkich latach nadal dobrze im się rozmawia. Jeff postanowił więc pozostać w mieście jeszcze tydzień lub dwa, wynajmując pokój w niewielkim hotelu – pod fałszywym nazwiskiem, aby uniknąć wizyt dziennikarzy, fanów i grupies.

* * *

Muzyk odwiedził przyjaciela także następnego dnia. Teraz to Mark opowiadał – o swojej chorobie, o wywołanym przez nią zamieszaniu na uczelni, a wreszcie o kłopotach z Fido (co z jakiejś przyczyny bardzo Jeffa zainteresowało), w końcu o tym, jak się ze swym psem rozstał. Ale dopiero na trzeci dzień gitarzyście strzeliła do włochatej głowy pewna myśl:

- Mark, kiedy to się zaczęło... no... z tą ręką? – spytał.
- W październiku.
- A... kiedy przestałeś bawić się Fido?
- W październiku... Ty stary mistyku, co ty próbujesz wmówić normalnemu człowiekowi?! Fido to tylko marionetka, nic więcej!
- Nie – odparł Jeff poważnie – Fido to ty.
- Raczej moja podświadomość... – Mark spojrzał niepewnie na przyjaciela. – O co ci chodzi?
- Podświadomość... – Jeff westchnął. – A czy ty w ogóle wiesz, co to jest podświadomość?
- Ja nie muszę wiedzieć, co to jest – obruszył się zniecierpliwiony profesor. – Wystarczy, że umiem tego użyć!
- Ano właśnie. – Jeff uderzył się dłonią w kolano. – Podświadomość... I tu nastąpił długi wykład. Zbyt długi, by go przytaczać.
- Krótko mówiąc – zakończył wreszcie Jeff – podświadomość to magazyn tego, co twoja świadomość odrzuca. Wszystkie nierozwiązane problemy, cały bałagan, który ukrywasz przed sobą zamiast go uporządkować, wszystko to łąduje tam. Rozumiesz, rupieciarnia. Strych twojego umysłu.

– I co w związku z tym? – spytał Mark, zupełnie skołowany. – Czeka-
kaj, bo ta ręka znowu...

Jeff, chcąc ulżyć przyjacielowi w cierpieniach, wygłosił kolejny wy-
kład – coś o tłumieniu i o tym, czym ono grozi. Ta prelekcja skołowała
Marka do reszty.

– Krótko mówiąc – zakończył Jeff – to, co podświadome, jest groźne
tylko tak długo, póki tego nie wyjmiesz na wierzch. Wtedy przestaje
mieć znaczenie. Ty zyskujesz kontrolę nad tym czymś, a to coś traci
władzę nad tobą.

– A jak to się robi?

– Są różne sposoby. Najprostszy... – urwał i popatrzył na chorego bar-
dzo uważnie. – Powiedz mi, czy nie zauważyłeś w zachowaniu Fido cze-
goś... charakterystycznego? Powiedzmy czegoś, co się ciągle powtarzało?

– Czeka... zaraz! – Ręka bolała już na całego, a przy tym dostała
drgawek. – Właściwie... Tak. – I Mark opowiedział o bocznej uliczce,
w którą wciąż usiłował skręcić Fido.

– A co to za ulica? – spytał ciekawie Jeff. – Co tam jest?

– Na tej ulicy?... – Mark udawał przez moment, że się nad tym zastana-
wia. – Właściwie... nie wiem. Nigdy tam nie byłem – przyznał się w końcu.

– No wiesz co?!... Tyle lat tu mieszkasz i jeszcze gdzieś nie byłeś?

Profesor spróbował wytłumaczyć rockmanowi, że nie każdy ma
wszędobylskie usposobienie i że niektórzy wolą chodzić utartymi
szlakami. Jeff przerwał mu:

– Właśnie dlatego jedni mają problemy ze sobą, a inni nie. Lepiej
idź i sam zobacz, co tam jest. A jeszcze lepiej, żeby cię tam zaprowadził
twój Fido.

– Wiesz, że nie mogę poruszać lalek... – zaczął Mark.

– Mimo to spróbuj. Czuję, że ta twoja choroba to wyłącznie sprawa
umysłu.

Mark pomyślał o wszystkim, co tego dnia usłyszał i poczuł nagły
niepokój.

– Czeka, a jeśli to, co znajdę na tym... strychu mojego umysłu... nie
spodoba mi się?...

– ...Albo ci się znudzi? – dodał Jeff. – To wyrzucisz do kosza. Już ci
mówiłem: groźne jest tylko to, co podświadome.

– Słuchaj... – zagadnął Mark, gotów spróbować wszystkiego, co mogłoby wyzwolić go z cierpień. – A może poszedłbyś tam ze mną?

– O nie! – stanowczo zaprotestował Jeff. – To twoje życie, nie moje. Sam w nim nabałaganieś, sam je teraz posprzątaj. A ja już spadam. – I muzyk, dotychczas sprawiający wrażenie leniwie usposobionego, nagle energicznie wstał z krzesła, pożegnał się i szybkim krokiem wyszedł. Mark natychmiast wezwał pielęgniarkę i zażądał widzenia z ordynatorem.

Doktor Mileton był bardzo zdziwiony żądaniem natychmiastowego wypisania pacjenta i oczywiście kategorycznie odradzał opuszczenie szpitala. Profesor Andrews musiał skłamać, iż jego przyjaciel zna specjalistyczną klinikę w Szwajcarii, gdzie skutecznie leczą takie przypadki – dopiero to poskutkowało.

* * *

Po powrocie taksówką do domu Mark wykręcił numer hotelu i poprosił recepcjonistkę o połączenie z pokojem Billa Smitha – pod takim nazwiskiem zakonspirował się tam Jeff – ale odpowiedziano, że pan Smith właśnie wyjechał. Zdobywszy się na odwagę, Andrews wydobył Fido z szuflady – skurcze i drgawki prawej ręki osiągały właśnie swe apogeum – i z trudem nałożył sobie rękawiczkę na obolałą dłoń.

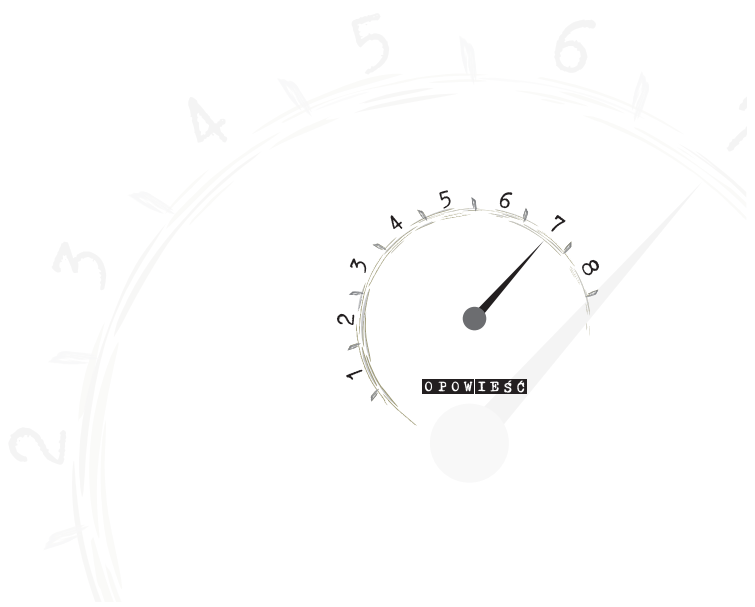
Ból ustąpił... jak ręką odjął. Dłoń nagle odzyskała całkowitą sprawność. Co więcej, nie utraciła też ani trochę wprawy w poruszaniu marionetką – gdy tylko łapki psa dotknęły ziemi, natychmiast zaszurały na śliskim parkiecie. Mark, nie wahając się długo, podążył tam, dokąd próbował go pociągnąć Fido. A ten wyraźnie zdążył w stronę drzwi wyjściowych.

* * *

Pędzili w głąb bocznej uliczki. Nie było tam asfaltu, tylko kostka brukowa, w którą śmiesznie stukały drewniane łapki Fido. Chwilami próbował biec szybciej od człowieka i psie nogi ślizgały się po bruku. Na razie gnali prosto, nigdzie nie skręcając. „Nie wiem, co mnie spotka w tej uliczce – pomyślał Mark – ale chyba nie będzie to nic złego. W końcu Fido jest moim przyjacielem, a przyjaciele nie robią sobie numerów. Nawet jeśli nie zawsze mają do siebie zaufanie”.

Nie czuł już strachu, tylko ciekawość. Biegł tam, dokąd prowadził go pies...

TRAKTAT O HOTELACH



Traktat o hotelach

Jeżeli decydujecie się na miłosną schadzkę w hotelu, a nie mieszkacie w dużym mieście – polecam najbliższą metropolię. I to z co najmniej z dwóch przyczyn.

Po pierwsze wielkomiejski hotel z reguły zapewnia lepsze warunki od prowincjonalnego (ponadto zawsze ma konkurencję, jest więc w czym wybierać). Po wtóre – zawsze znajdzie się ktoś, kto nie powinien o was wiedzieć, nawet (a może zwłaszcza?) jeżeli osoba taka nie przychodzi ci na myśl. Nie mówię o sytuacji, gdy twoją wybranką jest przypadkiem żona – ale z takową zwykle nie potrzebujesz randkować w hotelu (chyba, że na wakacjach albo podczas generalnego remontu mieszkania). Wielka aglomeracja – zwłaszcza taka, w której nie zamieszkujecie na stałe – zapewni wam anonimowość.

O ile spotkanie nie jest spontaniczne, lecz planowane z wyprzedzeniem, odwiedź wcześniej hotel, gdzie zamierzacie je sfinalizować, i dowieź się jak najwięcej o panujących tam warunkach.

Ważność WC i łazienki w pokoju (a nie tylko na korytarzu), zwłaszcza w erotycznej sytuacji, jest oczywista. Na szczęście w latach osiemdziesiątych XX wieku to już standard, jednak warto sprawdzić szczegóły. Przydatna będzie ciepła woda (również standard, choć lepiej się upewnić), która zwykle nastroja erotycznie. Zarówno wanna, jak i kabina prysznicowa to potencjalne miejsca rozkosznych igraszek, o ile są dość przestronne – zapytaj o ich gabaryty.

Truizmem jest potrzeba szerokiego, wygodnego łóżka formatu małżeńskiego. Najlepiej, gdy stać was na apartament dla nowożeńców.

Ogrzewanie ma znaczenie pierwszorzędne, chyba że mamy środek gorącego lata, lub... odwiedzamy kraj tropikalny (wówczas niezbędną jest klimatyzacja). Najlepiej, aby temperaturę można było dowolnie regulować. Jeżeli oświetlenie ma podobną właściwość, to tym lepiej. Jak działają ciepło i półmrok – nie muszę ci chyba tłumaczyć.

Dowiedz się też, czy pokój ma na wyposażeniu sprzęt do odtwarzania płyt lub kaset. Jeśli tak, to przygotuj zbiór nagrań nastrojowej muzyki, która wam obojgu odpowiada, na odpowiednich nośnikach. Nawet ulubiona stacja radiowa może niechcący zepsuć upojne chwile punk-rockiem, lub – dajmy na to – reportażem z tuczarni drobiu.

W ogóle pamiętaj, iż pokój w choćby najlepszym hotelu – to nie twoje mieszkanie, gdzie wszystko masz pod ręką. Czegokolwiek możecie potrzebować, musicie to ze sobą przynieść.

Piżama i nocna koszula raczej nie będą konieczne (chyba że jako erotyczny fetysz), ale już suknia wieczorowa i garnitur tworzą z reguły miłszy nastrój od wytartych dżinsów i wymiętej sukienki do prac ogrodowych. Z pewnością nie warto skąpić grosza na markowe perfumy i wodę kolońską. Nie inaczej rzecz się ma z dobrymi trunkami (tu wybór powinien być wasz wspólny). O ile nie stać was na zamówienie szlachetnego alkoholu na miejscu, lub nie ma takiej możliwości, zawsze możecie zaopatrzyć się weń wcześniej i wnieść go w podręcznej torbie podróżnej. Obsługa hoteli z restauracjami źle na to patrzy, ale na szczęście nie może was zrewidować przy wejściu.

Na koniec mała uwaga co do środków medycznych. Bynajmniej nie chodzi tylko o szeroko pojętą antykoncepcję. Każde z was może mieć jakieś lekarstwo, które musi zażywać regularnie, lub którego może potrzebować w każdej chwili. Lepiej, by w najmilszym momencie nie okazało się, że ktoś powinno natychmiast wziąć insulinę, której jak na złość zapomniało. Lub nawet nie zapomniało insuliny, ale za to w pośpiechu nie zabrało strzykawki...

Waszych potrzeb przewidzieć nie mogę, dla was jednak nie jest to niewykonalne – wszystko sobie zawczasu wynotujcie! Na spontaniczność można sobie pozwolić, gdy jest się do niej odpowiednio przygotowanym. Rzecz przecież w tym, aby po spotkaniu pozostały wyłącznie miłe wspomnienia.

* * *

Pokój był nieduży, o białoniebieskich ścianach. Regulowane ogrzewanie i oświetlenie. Stojąc tyłem do wejścia, z prawej strony miałem szafę w ścianie, z lewej – odsuwane drzwi do łazienki, a na wprost – okno z widokiem na przeciwległą stronę ulicy. Pod oknem, zasłanianym brązowymi storami, stało wielgachne łóże, na oko zajmujące większą część posadzki.

– Czy to działa? – zagadnąłem, wskazując ustawiony na półce nad łóżkiem sporych rozmiarów radiomagnetofon.

– Gwarantuję, że tak – odparł z przekonaniem portier. – Telewizor także. Wszystkie ważniejsze kanały, plus niektóre kodowane...

– Dobrze – przerwałem. – Obejrzę jeszcze łazienkę.

Błękitne kafelki w ciemniejszym niż ściany odcieniu wpadającym w turkus. Zamiast wanny – kabina prysznicowa z brodzikiem dwa na dwa. Obok umywalka z lustrem i półeczką.

Wyszedłem na korytarz i zadzwoniłem do niej z wiszącego na ścianie automatu. Przypadkiem wiedziałem, że o tej porze jest w domu sama (a w każdym razie bez męża).

– Mam pokój – zakomunikowałem krótko, gdy odebrała połączenie.

– I jak? – usłyszałem jej dźwięczny głos.

– Klitka, ale poza tym znośny. Nam wystarczy. To co, pojutrze o szóstej?

– Pojutrze o szóstej.

Wyłączyła się. Wróciłem do pokoju.

– Rezerwuję na jedną dobę od piątku po południu.

* * *

Do pokoju wszedłem trzy po piątej. Położywszy na krześle niedużą czarną walizkę, a na podłodze – brązowy neseser, włączyłem radiomagnetofon i wrzuciłem doń kupioną po drodze kasetę Iron Maiden. Zawarczał riff gitary Adriana Smitha; załomotały bębny Clive'a Burr'a – taśma szła równo, bez zakłóceń. Przy jej akompaniamencie zdjąłem ubranie i powiesiłem w szafie – zamykała się na drewnianą żaluzję. W łazience – prysznic, przejazd golarką po twarzy, dezodorant, woda kolońska. Na koniec ubrałem się w wyciągnięty z neseseru jasnopielaty garnitur. Do jej przybycia pozostało jeszcze prawie pół godziny.

Usiadłem na łóżku i – nie wyłączając muzyki – pobawiłem się pilotem od telewizora. Mieli CBS, NBC, ABC i całą resztę, parę stacji komercyjnych, dwa kanały sportowe (na obu szedł futbol), jeden filmowy i zdaje się, że jeden z erotyką... No i MTV. Zgasilem odbiornik, pilota machinalnie odłożyłem na moją czarną walizeczkę. Wyjąłem z nese-seru nowy numer *National Geographic*, który przyszedł rano pocztą. Artykuł o afrykańskich maskach pochłonął mnie tak, że nawet nie spostrzegłem, kiedy kaseca się skończyła.

Maski w niektórych plemionach Czarnej Afryki – wywodziła autorka – odgrywają wielce istotną rolę w komunikacji międzyludzkiej. Członek plemienia osłania twarz maską wówczas, gdy chce powiedzieć innym coś ważnego, istotnego. Maską jest – paradoksalnie – narzędziem szczerości.

Zanim skwitujemy ów zwyczaj wzruszeniem ramion, rozważmy, czy jest on rzeczywiście aż tak egzotyczny. Wydają się temu zaprzeczać choćby zwierzenia niektórych aktorów, czy gwiazd rocka. Wedle ich słów, kreowanie wymagowanych postaci pozwala im robić (dodajmy: nierzadko z dużą przyjemnością) rzeczy, na jakie nie mieliby odwagi poza sceną czy planem filmowym. Podobnie bywa z osobami leczonymi z alkoholizmu: nieraz wyznają terapeutom, że stan upojenia alkoholowego nie powoduje u nich bynajmniej realnego odblokowania stłumionych emocji. Stanowi raczej rodzaj „alibi” dla zachowań, na które zawsze mają ochotę, a które u trzeźwej osoby zostałyby w najlepszym razie uznane za dziwaczne. W najgorszym – postawiłyby jej zdrowie psychiczne pod znakiem zapytania.

Jak więc widzimy, nie tylko mieszkańcy Czarnej Łądy muszą czasem na chwilę zostać kimś innym, aby przez tę chwilę być w pełni sobą...

Otworzyła drzwi bez pukania.

Miała na sobie różową garsonkę. Krótka spódnica, odsłaniająca łydki godne sportswomenki, spływała po krągłych biodrach. Góra z wąskim dekoltem kusząco odkrywała kawałeczek, dosłownie skrawek piersi. Szeroki pasek, ściągający żakiet z krótkimi rękawami, udatnie podkreślał talię. Była dziewczęca i uwodzicielska... A ja postanowiłem trochę się podroczyć.

- Chyba nie przysłaś tak ubrana?! - udałem rozgniewanego. - W środku zimy?!

- Coś ty, jeszcze nie zwariowałam! - Weszła, kładąc na dywanie swą podróżną torbę. - Przebrałam się w toalecie na korytarzu, a przedtem weszłam pod prysznic. - Postąpiła parę kroków ku mnie. - Twoja żona tak się dla ciebie nie ubiera, co?

- Nie, dla mnie akurat nie... A może powinna?

Stanęła nade mną, wciąż siedzącym na przykrytym narzutą pościelinu. Cienki materiał bluzy ślicznie układał się na jej brzuchu...

- A może i ty powinieneś czasem tak się dla niej wystroić? - Usiadła mi na kolanach, dłoń opierając o leżącą na krześle czarną walizeczkę. - I tak ładnie pachnieć?

Jej pocałunek powalił mnie. Dosłownie - bo rzuciła się na mnie tak, że po sekundzie nie siedziałem już, tylko leżałem pod nią, wciąż całującą mnie namiętnie. Dyskretny zapach zadbanej kobiety tworzył jedność z wonią perfum, które dałem jej na poprzedniej randce.

- Poczekaj - rzekła - przyniosłam coś. - Wstała, by rozsunąć suwak skórzanej torby, skąd wyjęła kasetę magnetofonową. - Przeboje lat sześćdziesiątych. Nasza młodość. Sama wybrałam, specjalnie dla ciebie.

Puściła taśmę i zabrzmiało *Thank You Led Zeppelin*. Zakręciła mną w wolnym tańcu...

* * *

- Jak tam twoja Karen? - spytała, gdy siedząc na łóżku sączyliśmy z hotelowych kieliszków cabernet. No pięknie, początek randki, a jej zachciało się rozmowy o współmałżonkach!

- A wiesz, że lepiej?

- A wiem, że lepiej. - Język pokazała, trzeba jej to przyznać, w sposób równie seksowny, jak wszystko, co robiła. - Jeśli naprawdę zacząłeś pomagać w kuchni, to nie może nie być lepiej.

- A zacząłem, zacząłem! - Teraz ja pokazałem język, tak trochę *a'la Jagger*. - Już umiem obrać i ugotować ziemniaki!

- O! To rzeczywiście... Jak na faceta... Tiu, tiu, tiu...

Puściłem kpinę mimo uszu.

- Właśnie: a jak twój ślubny?

– Wyobraź sobie, też zmiany na lepsze. Uczynny się robi. I do tego coraz mniej boi się być czułym. Ale...

– ...Ale wraz z odejściem starych wad, na jaw wyszły kolejne?

– Widzisz... – Jej palce zabębniły w leżącą wciąż na krześle czarną walizeczkę. – ...On jest zapalonym kibicem żuźla.

– To co? – wzruszyłem ramionami. – Każdy facet ma świra na punkcie albo samochodów, albo filmów sensacyjnych, albo jakiejś dyscypliny sportu. A najczęściej wszystkiego naraz.

– OK, ja mu nie bronię. Niech sobie zobaczy jedne, drugie zawody... Ale on, kiedy tylko ma wolną chwilę, siada przed telewizorem i zaczyna przerzucać kanały sportowe, szukając tych swoich motorów. A jak już znajdzie, to koniec! – ciężko westchnęła. – Ja bym z nim nawet popoglądała ten jego żuźel, choć on nigdy nie obejrzy ze mną żadnego romantycznego filmu. Tylko, że jak ogląda, to tak, jakby go nie było! Nic do niego nie dociera i nie ma zmiłuj! Oczywiście wlepione w ekran, pięści zaciśnięte... Jakby sam chciał wskoczyć na motocykl i wygrać wyścig! Jeszcze rozumiałabym, gdyby był dziennikarzem sportowym, ale nie jest. No i co ja mam robić?

– Czekaj – zamyśliłem się. – Może gdybyś go przytuliła, tak, jak teraz mnie, to by się oderwał od telewizora?

– Spróbuję, choć wątpię, żeby to coś pomogło.

– A gdyby pomogło, to co? Zrezygnujesz ze mnie?

– Nigdy!

Niespiesznie dokończyła swoje wino. Etap zbędnego pośpiechu mieliśmy dawno za sobą. Tym bardziej nie kręciło nas już wzajemne zdzieranie ubrań. Rozbierała się powoli, starannie umieszczając każdą rzecz na odpowiednim wieszaku lub półce. Z przyjemnością kontem-plowałem odslaniane stopniowo ciało zadbanej trzydziestoosmiolatki. Czekałem, aż rozpięciem haftki uwolni dwoje dojrzałych piersi; aż rajstopy przestaną przebarwiać brzuch – wyjątkowo płaski jak na matkę dwójki dzieci... Wiedziałem, że ma dwoje; zresztą podobnie jak ja. Najpierw Alvina, dwa lata później Brendę. Myśleliśmy z żoną jeszcze o literze „C”, ale daliśmy spokój.

Mnie, w przeciwieństwie do niej, z wiekiem urody nie przybyło, ściemniłem więc światło. Gdy skończyłem rozbieranie, leżała już pod

kołdrą. Przywarłem do jej pleców, pośladków, ud. Napawałem się jej ciepłem i zapachem.

- Aha... - szepnęła. - Nie mówiłeś jeszcze, jaki u was postęp w tych sprawach.

- Wiesz... Niby po każdym naszym spotkaniu jest lepiej, ale...

- Tak?

- Ostatnio zrobiła się taka trochę *na nie*...

- Za mało chętna? Hm?

- Jakbyś zgadła.

- Hm, hm... - zanuciła słodko. - Może nie dajesz jej wszystkiego, czego chce? Ja na przykład nie mam odwagi powiedzieć mojemu mężowi, że... Hm... Że miałabym czasem ochotę na... - dokończyła na ucho.

- Łał! Naprawdę kręcą cię takie rzeczy?

- Mhm...

* * *

Obudziło mnie światło i przekleństwa. Półprzytomnym wzrokiem powiodłem po pokoju. Ubrana w biały hotelowy szlafrok chodziła w kółko pośród rozrzuconych ubrań. Znałem to aż za dobrze.

- Kurde mol! - wykrzykiwała, okładając się pięściami po głowie. - Idiotka! Pi*****ona idiotka!

- Jeżeli zapomniałaś insuliny - wymemlałem skołowaciałym przez sen językiem - to w moim neseserze jest zapas. Powinna być też druga strzykawka...

- Strzykawkę mam, tylko skończyły mi się ampułki... - Otworzyła brązowy neseser. - Są! Są! - zaklaskała w dłonie. - Skąd wiedziałeś? - spytała, otwierając niewielki czarny futerał.

- Zauważyłem, że ostatnio jesteś jakby zakochana, co grozi roztarzeniem. Dlatego mam też trochę kosmetyków oraz...

- Kosmetyki mam, pigułek też wzięłam - przerwała, idąc z napełnioną strzykawką do łazienki.

Wybity ze snu, sięgnąłem po leżącego na mojej czarnej walizeczce pilota od telewizora i zacząłem od niechcenia przerzucać kanały. Natrafiłem na zawody żużlowe - transmisję z Australii. Barry Deemson na swej zielonej maszynie wyprzedzał właśnie Rene Ramaque'a, i to po zewnętrznej! Lekko przygłośniłem ryk silników i poczułem się, jakbym

to ja gnał po czarnym torze na ciemnozielonej, ryczącej hondzie. Pod siodełkiem czułem wibracje silnika, w zaciśniętych na kierownicy dłoniach – każdą nierówność nawierzchni. Pędziłem wśród gryzącego zapachu spalin. Czułem, że Ramaque już mnie nie doścignie. Miałem duże szanse wyprzedzić także Mario Berniniego...

– No i znowu to samo! – usłyszałem. To nie był, zdaje się, głos spikera...

Poczułem obejmujące mnie ciepło – i tor wraz z motocyklem odpłynęły na antypody, zamykając się w prostokącie ekranu. Wyciszyłem dźwięk. Pod głową miałem jej lewą pierś, niemal słyszałem dudnienie... Właściwie to wyniki będą jutro w gazecie. Wyłączyłem odbiornik.

– Co ja bym bez ciebie robiła? – usłyszałem.

– Nawet o tym nie myśl! – odparłem niby-groźnym tonem.

Potem już tylko słuchałem, jak dudni silnik w jej piersi. Po chwili gnałem naprzód na lśniącej chromem maszynie, czując ciepło kobiety siedzącej za mną na siodełku, przytulonej do mnie... Tak dospaliśmy do rana.

* * *

– Po co my się w to bawimy? – zapytałem, gdy – prosto spod pryszniczniczki – w białych szlafrokach siedzieliśmy naprzeciwko siebie, próbując ochłonać.

– Bawimy w co? – Spod mokrych włosów rzuciła na mnie krótkie, łakome spojrzenie.

– W zdradę małżeńską!

Tym razem popatrzyła bardzo, bardzo uważnie.

– Ty to nazywasz zabawą?

– Karen, przecież to absurd! – roześmiałem się głośno. – Raz na miesiąc zdradzasz mnie ze mną, a ja ciebie z tobą! Moja własna żona udaje moją kochankę, a ja – jej kochanka! Czemu po prostu nie powiemy sobie pewnych rzeczy wieczorem przy kolacji, a innych – gdy idziemy do łóżka w naszej własnej sypialni?

– Nie czytałeś mojego eseju w *National Geographic*? – spytała z wyrzutem.

– Tego o murzyńskich maskach?

– A jednak czytałeś! – ucieszyła się. – To po co pytasz?

– Chcesz powiedzieć, że to, co robimy, to rodzaj teatru?

- No oczywiście! Ten pokój to nasza scena. Gdybyśmy jako mąż i żona mogli sobie powiedzieć pewne rzeczy, powiedzielibyśmy je już dawno. Ale wstydzimy się przed sobą, boimy się wywołać awanturę... I po to właśnie wkładam maskę twojej kochanki, a ty - mego kochanka. Żeby bezpiecznie komunikować sobie takie właśnie rzeczy. Wierz mi, jako doktor psychologii wiem, co mówię.

- A propos: podoba mi się ta scena - zatoczyłem ręką po pokoju. - Może za miesiąc damy tu kolejny spektakl?

- Niezły pomysł! No, ale na razie koniec przedstawienia.

Wysuszyła włosy, ubrała się w zwykłe ciuchy, garsonkę poskładała fachowo i schowała do torby.

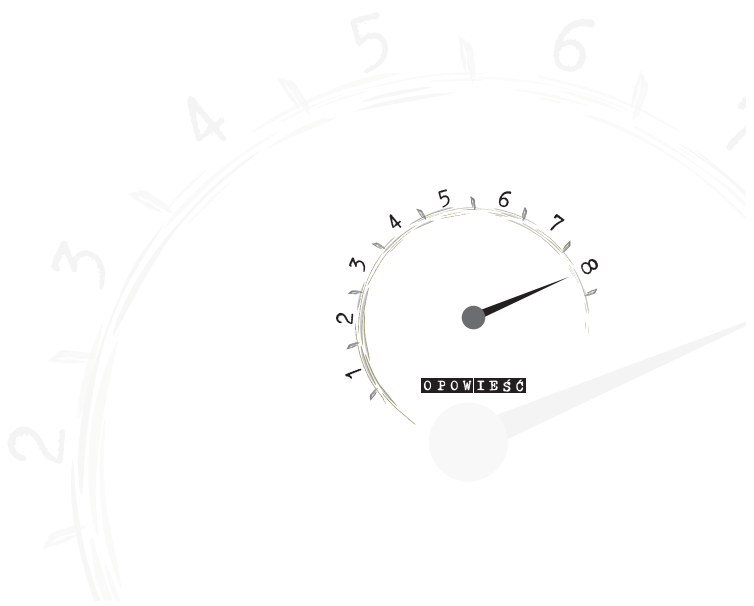
- Aha - przypomniała sobie na odchodnym - Alvin nie może zrozumieć *Ziemi Jałowej*. Pomożesz?

- A czy ja kiedyś nie pomogłem? Jutro będzie rozumiał całego Eliota od deski do deski! To co, widzimy się na kolacji?

- Nie pojedziemy razem? Myślałam, że zjesz obiad ze mną i dziećmi...

- Niestety, potrzebuję paru godzin względnej ciszy - odparłem, wyciągając z czarnej walizeczki maszynę do pisania. - Pokój jest opłacony na dobę, a chciałbym jeszcze dokończyć felieton o seksie w hotelach. Obiecałem po południu dostarczyć go do redakcji...

SONATA B-MOLL



Sonata b-moll

- Tak, miał pan rację - szepnął w zadumie ordynator, gdy szliśmy białym korytarzem, a naszym krokom wtórowało basowe echo. - Pana córka już dość przeszła. Oszczędźmy jej choć strachu...

Skrzypnęły drzwi i weszliśmy do gabinetu. Hollyanne, ubrana w biały szpitalny szlafrok, siedziała cicho na leżance. Jej smutne oczy patrzyły za okno, na przysypany śniegiem wrzos. Wokół niej krzątała się asystentka ordynatora, zwijając kable.

- I jak tam nasza młoda dama? - spytał lekarz, udając niefrasobliwość.

- Elektroencefalogram w normie, panie profesorze - odparła asystentka.

- No widzisz, i po co było się tak zamartwiać? - rzekł do dziewczynki. - To już wszystkie badania. Jesteś, moja panno, zdrowa jak mała rybka. Jeszcze tylko pani doktor zrobi ci zastrzyk na wzmocnienie i możesz iść do domu!

- Do domu daleka droga - powiedziałem z uśmiechem, choć serce biło mi jak oszalałe, gdy kobieta w białym kitlu szykowała strzykawkę. A więc to już... To już... Już...

- Chciałbym kiedyś posłuchać, jak grasz - zagaił ordynator, gdy tłok wolno wprowadzał przezroczysty płyn w szczupłe ramię Hollyanne.

- Dobrze, panie doktorze - oparła dziewczynka, wciąż smutna, jakby nie wierząc w zapewnienia o zdrowiu. - Jeśli jest tu fortepian albo pianino...

- Nie, nie ma. Miałem na myśli: na koncercie. Nasze miasto ma piękną filharmonię.

– Myślę, że wytwórnia to zorganizuje – włączyłem się do rozmowy.
– Na razie przyślemy panu płytę, powinna być lada dzień.

Asystentka ostrożnie wyjęła igłę i przyłożyła w tym miejscu umoczony w spirytusie wacik. Dla pewności przymocowała go kawałkiem plastra.

– No, a teraz ubieraj się – ponagliłem córkę – bo nie zdążymy na samolot!

Wstała, chcąc iść za parawan, gdzie pozostawiła ubranie. Zrobiła krok i – zatoczyła się.

– Zaraz... – ziewnęła głośno. – Chyba chce mi się spać...

– Siądź, odpocznij. – Pilnowałem, by mój głos nie zdrzął. – Mamy jeszcze chwilę czasu.

Usiadła mi na kolanach – mała i lekka na swe dwanaście lat. Powoli zasypiała w moich objęciach. Przez gruby materiał szlafroka czułem ciepło jej kruchego ciała, pulsowanie jej serca... A jeśli już się nie obudzi?... Próżno tłumaczyłem sobie, że to i tak nastąpiłoby za niecały miesiąc... Przecież Jerry nie wyssał tego z palca... Przecież wiedział, co jej jest... Wiedział to, czego nie wiedział doktor Redwick...

– Usnęła... – wyszeptalem, gdy złożyła jasnowiąszą głowę na moim ramieniu.

– W porządku – rzucił półgłosem ordynator w stronę asystentki. – Można ją zabrać na salę.

* * *

Jerry'ego poznałem w grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego – mniej więcej rok po tym, jak kariera Hollyanne zaczęła nabierać tempa. Przysiadł się do mnie w pubie „For Example”, gdzie ławy bez oparć, pokryte czarną skórą, ciągną się wzdłuż blatów z poczerzniętego drewna. Obaj byliśmy tam stałymi gośćmi i gdy dziś o tym myślę, mam powody przypuszczać, że obserwował mnie już wcześniej, tylko ja nie zwracałem na niego uwagi. Jego marynarka w czarno-białą kratkę ginęła pośród innych okryć, jakie nosili bywalcy tego dość popularnego w naszym mieście lokalu.

Przysiadł się, gdy oglądałem transmisję z zawodów żużlowych w Adelaide („For Example” był jedynym pubem, gdzie dało się spokojnie obejrzeć speedway, bez ryzyka, że w połowie ktoś przełączy

na mecz). Facet w jasnokremowych sztruksach i tej swojej marynarce w drobniutką szachownicę, bez krawata, starannie ogolony, z krótkimi włosami. Usiadł obok i zaproponował mi piwo.

Najpierw przestraszyłem się, że może to napalony na mnie gej (choć doprawdy nie wiem, na co). Moje podejrzania z pozoru potwierdziła chłodna obojętność, jaką okazywał skądinąd ładnej kelnerce, niejakiej Susan. Gdy jednak zmieniała ją pulchna koleżanka, on też się zmienił – i to nie do poznania.

Miała na imię Jessie, a wyglądała jak szkolna brzydula z podręcznika do angielskiego. Buźka niby wykreślona cyrklem, podobnie nos; małe usteczka, na policzkach po kilka piegów, a wokoło kręcone niby sprężynki czarne włosy; do tego okulary w grubych kanciastych oprawkach... Jak on ją podrywał! Eric Clapton tak nie zagrał, Michael Jackson tak nie zaśpiewał, jak on zabierał się do tej laski. Gotów byłem postawić w zakład piwo, że wyląduje z nią w łóżku jeszcze tego wieczoru (a całą skrzynkę, że stanie się to najdalej za tydzień). Odechnąłem – to żaden gej, choć i tak ma dziwne upodobania. Gdy więc powtórnie zaoferował szklankę millera, przystałem chętnie i powróciłem do śledzenia poczynąń żuźlowców.

Sytuacja przedstawiała się niewesoło. Nasz Barry Deemson miał wywrotkę, przez co stracił prowadzenie, i chociaż pozbiarał się już i znów gnał na swej zielonej hondzie, to Hermann Schneiling, Mario Bernini i Rene Ramaque uciekli mu daleko. Wciąż istniały, co prawda, nikłe szanse na brąz, zanosilo się jednak, że w tym biegu będziemy outsiderem. Z wściekłości omal nie zmiażdżyłem dłonią szklanki – prawie mieliśmy złoto!... Wtedy to właśnie mój sąsiad znacząco trącił mnie łokciem.

– Spokojnie – rzekł półgłosem. – Deemson będzie drugi!

– Chyba za rok...

– Nie, dzisiaj. Na zakręcie prześcignie zabojada, i to po zewnętrznej! Potem na prostej dogoni makaroniarza i wyprzedzi tuż przed metą. O przednie koło, ale zawsze. Tylko Szwajcarowi już nie da rady.

– Marzenia...

– O co zakład?

No i kolejne piwo postawiłem ja! Deemson, ryzykując powtórny upadek, wszedł w wiraż z takim przyspieszeniem, że praktycznie położył się na torze i, jadąc nieomal po bandzie, zostawił Ramaque'a z tyłu. Z tą samą prędkością wyszedł z zakrętu, po czym, nadal przyspieszając, rzucił się w pościg za Berninim. Dognał go faktycznie w ostatniej chwili. Musieli mu pomóc wejść na pudło, taki był poobijany, ale mieliśmy srebro!

– Albo się pan zna, albo ma pan niesamowitego nosa – stwierdziłem, gdy ufundowanym przeze mnie budwaiserem spełnialiśmy toast za Deemsona. – Powinien pan obstawiać zawodników!

– Już mnie takie rzeczy nie bawią – odparł, dokończywszy piwo. Ja też skończyłem swoje i poszliśmy – on do swej kelnerki, ja do domu.

Przemierzając podwórko, rozjaśnione stojącą przed domem latarnią, usłyszałem dźwięki fortepianu – zakończenie *Sonaty b-moll* Chopina... Odemknąłem drzwi i przez hol wszedłem do pokoju córki. W półmroku przygaszonej lampy Hollyanne, pochyliwszy jasnawłosą głowę nad klawiaturą, zapamiętała wybijała akord za akordem z pasją i siłą, jakiej nikt nie podejrzewałby w jej filigranowym ciele. Przy ogromnej skrzyni czarnego steinwaya, ustawionego na środku pokoju, wydawała się maleńką i kruchą porcelanową laleczką.

– O tej porze ćwiczysz? – spytałem, gdy wybrzmiały ostatnie pasaże.

– Cały dzień okropnie bolała mnie głowa, tato – odrzekła Hollyanne. – Nawet zwolnili mnie ze szkoły... Dopiero teraz mi przeszło. Ćwiczę, żeby nadrobić popołudnie...

– Połóż się, bo znów cię rozboli – poradziłem. – Za bardzo się forsujesz.

– Dobrze, tylko powtórzę tę sonatę. Wiesz, że dzień bez ćwiczenia to strata tygodnia ćwiczenia? A ja za miesiąc mam nagranie... – Po tych słowach utonęła w mrocznym, falującym ostinato, by zaraz wypłynąć na powierzchnię niepokojącym, rzekłbyś – nieledwie drżącym tematem przewodnim.

Nie od razu opuściłem pokój. Nie jestem znawcą muzyki klasycznej (prawdę mówiąc, nie słuchałem jej wcale, póki nie poznałem Kate); po prostu lubiłem patrzeć, jak Hollyanne swymi malutkimi palcami wydobywa z klawiszy dźwięki w sposób, który mnie wydawał się magiczny... Ponad wszystko jednak uwielbiałem dziecięcą radość, z jaką

siadała do fortepianu i wywodziła czarodziejskie melodie Chopina, Beethovena czy Brahmsa, jakby to była najlepsza zabawa...

Wtedy jeszcze nie dostrzegałem, że owa radość powoli opuszcza jej dziecinną buzię i niebieskie oczy.

* * *

„Mąż swojej żony” – brzmi poniżająco. „Rodzice swojej córki” – to już inna sprawa. Zresztą nie planowaliśmy wyedukowania Hollyanne na pianistkę. To był jej pomysł.

Słabość do muzyki zaczęła zdradzać, zanim jeszcze nauczyła się mówić, czy choćby przyswoiła sobie pionową postawę ciała. Gdy moja żona Kate, nauczycielka muzyki w miejscowym liceum, ćwiczyła na fortepianie, albo po prostu sama dla siebie – a trochę i dla mnie – grała Beethovena, Schuberta lub ukochanego Chopina, latorośl nasza wpełzała pod wysłużonego Steinwaya i słuchała z łezkami w jasnobłękitnych oczach.

Miała może cztery latka, gdy pewnego dnia zapytała: „Mamci, a jak się robi muzykę?”. Żonę bardzo to rozśmieszyło, tym niemniej pokazała córce różne proste gamki. Dziewczynka chwyciła je w lot, więc edukacja szła dalej. Najpierw dziecinne piosenki, a potem *Łatwe utwory* Czajkowskiego okazały się za łatwe; pojętna uczennica zagłębiła się w świat sonat fortepianowych Beethovena... Nuty biegle czytała mając pięć lat, nim zaczęła składać litery. Gdy skończyła sześć wiosen, zaprowadziliśmy ją do szkoły muzycznej. Egzaminatorzy byli jednomyślni: mamy w domu małego Mozarta!

To znaczy – niezupełnie. Hollyanne nigdy sama nie ułożyła melodii, bezbłędnie za to odtwarzała każdą, którą choć raz usłyszała bądź przeczytała z partytury. Jeszcze w przedszkolu została gwiazdą, w każdy poniedziałek odgrywając na pianinie całe aktualne notowanie listy przebojów. Rychło znudziły ją te koncerty, toteż zaczęła wpłatać w nie a to *Dla Elizy*, a to początek *Sonaty księżycowej*, pozostawiając inne dzieci w niepewności, cóż to za takie fajne, a nieznanne im szlagiery. Gdy więc trafiła do szkoły muzycznej, naturalnym wydawało się kształcenie jej na wirtuoza. W wieku lat dziewięciu osiągnęła już taki poziom, że mogłaby z powodzeniem zdawać na akademię muzyczną...

Pierwszy prawdziwy koncert dała, mając siedem lat – w czerwcu, na zakończenie szkoły. Potem przez kolejne dwa lata nie mogliśmy się opędzić od znajomych, chcących posłuchać (a może tylko zobaczyć), jak nasza córka wydobywa z czarnego pudła i białych klawiszy kolejne, coraz trudniejsze kompozycje Beethovena, Schumanna, Czajkowskiego, a zwłaszcza Chopina – genialnego Francuzo-Polaka, który, jak ona, zaczynał od łez wylewanych pod fortepianem swej matki... Trzeba tu zaraz dodać, że najgorętszą zwolenniczką urzędowania owych występów była sama pianistka. Od początku miała duszę gwiazdy. Na koniec odezwała się moja dusza handlowca, kierownika działu marketingu w miejscowej fabryce wyrobów wodno-kanalizacyjnych. Skoro każdego piątku goście wypijają nam herbatę i zjadają ciastka – wypada, byśmy coś z tego mieli! Któregoś tygodnia wynająłem salę miejscowego night-clubu (tylko tam stał prawdziwy fortepian, a nie zelektryfikowana czelesta Fendera), wydrukowałem bilety... I tak Hollyanne zarobiła pierwsze w życiu pieniądze. Powtórzyliśmy to kilka razy i po każdym takim występie miała minę, jakby spłatała komuś szczególnie udanego figla.

Pewnie mi nie uwierzycie, ale nawet tak zwane „letnie *tournée*” nie miało w sobie nic z „męczenia dziecka”. To również wyszło od niej. Liczyła sobie wówczas dziesięć wiosen. Podeszła do mnie pewnego czerwcowego dnia – akurat myłem samochód.

– Tato, a może zagrałabym ludziom w jakichś innych miastach? – zagadnęła. – Bo może tam nie mają pianistek? A ja i tak będę teraz miała wakacje...

Osobiście wątpiłem w masowe zainteresowanie muzyką klasyczną czy to w naszym, czy w innych miasteczkach. Wszakże liczyłem, że w każdym znajdzie się dość chętnych, by popatrzeć na cudowne dziecko, o ile bilety będą wystarczająco tanie.

Nie omyliłem się, wszędzie miała dobre przyjęcie. Nie widziałem tych koncertów – to żona, mając dwa miesiące wolnego, jeździła z córką do co mniejszych miejscowości, szczególnie nadmorskich. Ja tylko załatwiałem przez telefon salę i reklamę w lokalnej prasie. Ponoć Hollyanne nie zagrała dwóch koncertów z dokładnie tym samym repertuarem. Na poczekaniu wybierała klasyczne kawałki (przeważnie Cho-

pina), na które w danej chwili miała ochotę. Zawsze też kończyła swój występ wiązką hitów usłyszanych ostatnio w radiu.

W następne wakacje powtórzyła swój objazd i wówczas to przyciągnęła uwagę mediów. Gazety w odwiedzanych przez Hollyanne miejscowościach rozpisywały się o „jedenastolatce grającej jak dorosły muzyk”. W konsekwencji dała krótki recital dla jednej z lokalnych stacji telewizyjnych. Najwidoczniej paru ludzi obejrzało ów występ, bo po wakacjach zaczęły pytać o nią wytwórnice płyt. Wybrałem największą, mieszczącą się w Nowym Jorku, a wyspecjalizowaną w nagraniach muzyki pianistycznej i kameralnej. Moja córka ochoczo przystąpiła do ćwiczenia programu na longplay z muzyką Chopina, wbrew sugestiom kierownictwa firmy nalegając, by w repertuarze znalazł się jej ulubiony utwór – arcytrudna *Sonata b-moll*. Ja zaś w mojej pracy zmuszony byłem przejść na pół etatu, by przyjąć na siebie obowiązki menadżera córki. Wyglądało na to, że wkrótce zostanę nim na pełny etat...

* * *

Począwszy od pamiętnego dnia, gdy Deemson zdobył srebrny medal, Jerry’ego widywałem w pubie regularnie. Kilka jeszcze razy zakładałem się z nim o wyniki zawodów żużlowych. Rychło tego zaniechałem, bo niezmiennie wygrywał on. Co najdziwniejsze, wcale nie sprawiał wrażenia pasjonata żużla – zmagania motocyklistów obserwował z całkowitym spokojem, a nawet odrobiną znużenia – mimo to obstawiał trafniej ode mnie, starego maniaka speedway’u!

Tamtego wieczora – pamiętam, że było to w środę – gdy po ostatnim piwie wyszliśmy z pubu i mieliśmy powiedzieć „cześć”, Jerry nagle o czymś sobie przypomniał.

– Czekał! – rzekł. – Nie wypełniłem kuponu „Lucky Numbers”. Przejdziesz się ze mną?

Kolektura mieściła się w drewnianej budce na drugim końcu ulicy. Gdy szliśmy poprzez zimową noc, Jerry przez całą drogę coś sobie pod nosem powtarzał. Nie słyszałem, co, w każdym razie w kółko to samo – sześć krótkich słów...

Na miejscu zapłacił za kupon i z uwagą wypełnił go na wąskim blacie z rozeschłej deski. Przez chwilę przyglądał się niewielkiej karteczce,

mrucząc coś niewyraźnie – jak gdyby jeszcze raz, jeszcze drugi, jeszcze trzeci sprawdzał, czy zaznaczył właściwe liczby.

– W porządku – rzekł wreszcie, po czym... wyciągnął do mnie rękę z kuponem. – Trzymaj! Jest twój.

– Ale nie, zaraz, jak to... – spróbowałem zaprotestować.

– Powiedziałem: jest twój – powtórzył Jerry z naciskiem. – Za te wszystkie piwa, które przegrałeś. Żebyś wreszcie coś wygrał.

– Nigdy nic nie wygrywam ... – westchnąłem. – Nie mam szczęścia.

– Tym razem będziesz miał. Schowaj, bo zgubisz!

Nim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć (nie bardzo zresztą wiedząc, co), Jerry rzucił krótkie „cześć” i już go nie było. Wychodząc z kolektury, widziałem, jak odjeżdża swym czarnym fordem – podniszczonym LTD sprzed chyba dziesięciu lat. Czerwone owale tylnych świateł powoli rozmyły się w gęsto padającym śniegu.

* * *

W domu znów przywitała mnie *Sonata b-moll*. Do sesji w studio pozostały dwa tygodnie i poza szkołą córka wciąż wałkowała repertuar płyty. Tłukła go w kółko dzień w dzień – do perfekcji. Podejrzewałem, że obudzona w środku nocy mogłaby zasiąść do fortepianu i bezbłędnie odegrać wszystkie kompozycje w dowolnej kolejności. Kroczyłem przez podwórze, wśród migających w świetle latarni płatków śniegu, słuchając narastających akordów... gdy wtem rozbiegły się w fałszywe dźwięki, rozpadły w całkowitą kakofonię... i umilkły. Z początku myślałem, że to najzwyklejsza pomyłka, po której moja latorośl – zawsze surowa dla siebie – zacznie utwór od początku... Cisza przedłużała się.

Coś mnie tknęło. Przyspieszyłem kroku. W holu zrzuciłem tylko buty i w nie rozpiętej nawet kurtce poszedłem prosto do Hollyanne.

Siedziała przy fortepianie, skulona... z głową opartą na rękach... wtulona w pudło instrumentu, jakby chciała się w nim ukryć. Podeszedłem do niej i zobaczyłem, że drży... Chyba nie podłamała jej tak jedna pomyłka?! Może coś w szkole?... Szczerśliwie akurat miałem czym córkę pocieszyć.

– Rozmawiałem przez telefon z rektorem – zakomunikowałem tryumfalnie. – Jest pod wrażeniem twoich postępów. Obiecał, że gdy

skończysz trzynaście lat... – zawiesiłem głos, by wzmóc efekt – ...będziesz mogła u niego studiować!

Oczekiwałem eksplozji radości – ale nie nastąpiła. Dziewczynka wolno podniosła głowę i spojrzała na mnie... z wielkim smutkiem.

– Nie wiem, czy skończę trzynaście lat... – wymamrotała i z powrotem oparła czoło o krawędź fortepianu, jakby nie mając siły na nic więcej. Zatkanęło mnie. Takie słowa w ustach dwunastolatki?... Wiedziałem, że jest nad wiek dojrzała, ale czyżby już miał dopaść ją *Weltschmerz*?! Nie, na to chyba jeszcze za wcześnie?...

– Co ci jest? – spytałem bardzo cicho. – Czy coś się stało?

– Głowa, tato... – jęknęła. – Boli... Tak strasznie boli...

Przytuliłem ją i poczułem, że jest cała napięta. Dotknąłem jej czoła – nie miała gorączki, mimo to włosy mokre były od potu.

– Zaraz coś poradzimy – szepnąłem. Na palcach wyszedłem do holu, przymykając za sobą drzwi.

– Kate! – zawołałem. – Kate!

– Mamy nie ma, wyszła do babci – dobiegł mnie zza drzwi słaby głos córki.

Była więc zupełnie sama... całe szczęście, że ja nie zasiedziałem się w pubie! Podeszedłem do stolika z telefonem i wziąłem z blatu czarny notes. Znalazłem numer do doktora Redwicka, naszego lekarza rodzinnego. Wybierałem pierwszą cyfrę, kiedy przerwał mi okrzyk Hollyanne:

– Tato, przestało boleć! – zawołała radośnie. – Nie boli!

Zadźwięczały akordy. Tym razem podjęła grę w przerwany miejscu – błąd nie wynikł z jej winy.

* * *

Do Redwicka zaprowadziłem ją nazajutrz. Polecił zrobić rentgen czaszki, ale zdjęcie nie wykazało żadnych nieprawidłowości. Doktor uznał powracające bóle za objaw zmęczenia i stresu, przepisał jakieś ziołowe lekarstwo i kazał córce wcześniej chodzić spać.

Niestety, bóle nie ustąpiły. Co jakiś czas nadchodziły bez widocznej przyczyny i znikwały bez śladu. Lekarz zaczynał się już obawiać, czy nie mamy do czynienia z przypadkiem dziecięcej migreny.

* * *

Z tego wszystkiego kompletnie zapomniałem o kuponie. Leżał sobie w przegródce mojego portfela i czekał. Dopiero po kilku dniach przypadkiem na niego natrafiłem. Z czystej ciekawości (bo przecież nie dlatego, bym wierzył w wygraną) postanowiłem rzucić okiem na wyniki. Sprawdzałem kilkakrotnie, ale nie było wątpliwości: wszystkie liczby trafione! Pula nagród wyniosła dwieście tysięcy – jakiś facet z przeciwległego końca kraju zgarnął połowę, druga czekała na mnie.

Możecie się śmiać, ale byłem w szoku, nie mając pojęcia, co zrobić. Próbowałem znaleźć Jerry'ego, jednak był nieuchwytny. W końcu spytałem barmana w „For Example”, posiwiąłego Rosjanina, czy coś wie.

– Tyle wiem, ile słyszałem – odparł niechętnie. – Pół roku temu wygrał milion w „Lucky Numbers”, potem inwestował na giełdzie... Zna pan powiedzenie maklerskie: „Nikt jeszcze nie kupił akcji na samym dole i nie sprzedał na samej górze”?

– Każdy to zna – wzruszyłem ramionami.

– Właśnie. Tutaj czasem przychodzi jeden makler, trochę się nastuchałem... Ten Jerry zawsze kupuje na samym dole i sprzedaje na samej górze... jakby dostawał cynk. Albo zna kogoś bardzo wysoko, albo... – Barman machnął ręką i więcej gadać nie chciał.

To mnie zaskoczyło – Jerry w żadnym razie nie wyglądał na milionera. Prawdę mówiąc, w swej taniej marynarce bez krawata, w wysłużonym fordzie, sprawiał wrażenie co najwyżej nauczyciela lub urzędnika... Jeśli to, co usłyszałem, nie było plotką, najwyraźniej nie lubił obnosić się z bogactwem. Czyżby rzeczywiście jakiś mafioso?... Tłumaczyłoby to jego sukcesy na giełdzie. Zawody sportowe też ostatecznie można ustawić... Powiedzmy, że nawet i losowanie „Lucky Numbers”... Ale gangster nie dzieliłby się swoją wiedzą z obcymi osobami.

A gdyby Jerry był jasnowidzem, lub kimś podobnym?

Wiem, dziś brzmi to idiotycznie. Pamiętajcie jednak, że w tamtych czasach psychotronika wciąż poważnie interesowała naukowców. Nawet w programowo materialistycznym ZSRR prowadzono studia nad zjawiskami paranormalnymi. Takie hasła, jak „bioenergoterapia” czy „postrzeganie pozazmysłowe”, pojawiały się w mediach na równi z kosmonautyką i energetyką atomową. Tym bardziej u nas! Wciąż słyszeliśmy

o ludziach unoszących przedmioty siłą woli, rozpoznających dotykiem kolor trzymanej karty albo przewidujących przyszłe zdarzenia... Gdyby Jerry był jednym z nich? Gdyby wykorzystał swoje parapsychologiczne zdolności do wygrywania w gry liczbowe i przewidywania zdarzeń na giełdzie? Ale powracało pytanie: co ja mam z tym wspólnego?

* * *

Na Jerry'ego natknąłem się w „For Example” mniej więcej trzy dni później. Siedział przy stole nad wypitym do połowy piwem. Prawdopodobnie czekał na Jessie – od dnia, gdy przewidział zdarzenia na torze w Adelaide, spotykali się regularnie.

Siedział zamyślony, słuchając czegoś przez miniaturowe słuchawki. Zauważywszy mnie, sięgnął do małej kieszonki na rękawie swej kurtki i coś tam wyłączył.

– Lubię muzykę lat osiemdziesiątych – powiedział, zdjęwszy słuchawki. – Oczywiście nie mówię o tym całym elektronicznym disco – dodał wyjaśniająco. – Z tego przetrwa tak naprawdę jedynie Depeche Mode. Ale nowa fala brytyjskiego heavy metalu to jest coś! Właśnie słucham wszystkich wczesnych płyt Iron Maiden... Za dwadzieścia lat ci chłopcy będą instytucją, jak Rolling Stonesi.

– Może masz rację... Nie jestem w temacie, ostatnio słucham głównie Chopina – odparłem nie dodając, iż dzieje się tak z konieczności. W tamtej chwili zajmowało mnie coś zupełnie innego. – Jerry, te pieniądze...

– Wygrałeś – bierz i nie gadaj! – syknął, szturchając mnie łokciem. – Będą ci bardzo potrzebne... A na mnie już czas. Muszę dać wóz do lakierowania. Furgonetka mleczarza otarła mi się o lewy tylny błotnik. Gdybym to mógł przewidzieć... No, ale nic. – Jednym dużym łykiem dokończył swoje piwo, wstał i wyszedł, nim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć.

* * *

Wygraną zrealizowałem następnego dnia w sąsiednim mieście – przelewałem na konto. Kate, przed którą i tak niczego bym nie ukrył, poinformowałem, gdy byliśmy sami w domu. Zgodziła się ze mną, by nie wtajemniczać Hollyanne – w każdym razie przed nagraniem, do którego dziewczynka przygotowywała się coraz intensywniej.

Praktycznie już cały swój czas poświęcała na ćwiczenie. Czyniła to zresztą bez jakiegokolwiek przymusu, owszem – z narastającą ekscytacją. Wciąż mówiła o coraz bliższej sesji nagraniowej w Nowym Jorku i o tym, co jeszcze musi poprawić w swojej grze. Zapewne byłaby szczęśliwa... gdyby nie coraz częściej powracające bóle głowy, po których znów ogarniał ją smutek, dający się odgonić jedynie grą na fortepianie. Doktor Redwick wciąż jeszcze uspokajał Kate i mnie, że to tylko objaw zdenerwowania, który po zakończeniu nagrań zniknie bez śladu...

* * *

Po tym, co powiedziałem wyżej, łatwo zrozumieć, dlaczego dopiero po czasie zastanowiło mnie to, co powinno od razu dać mi do myślenia. W pubie Jerry słuchał muzyki z czegoś, co trzymał w kieszeni kurtki... Nawet nie w kieszeni, tylko w kieszonce na drobiazgi. Ledwie zmieściłoby się tam pudełko zapalek! Na dodatek powiedział, że słucha czyichś płyt, a zatem nie było to radio, tylko jakiś odtwarzacz... Odtwarzacz wielkości pudełka od zapalek?!

Na szczęście miałem gdzie zasięgnąć języka.

Jack Schoobloy był moim kolegą z podstawówki. Potem nasze drogi się rozeszły: ja poszedłem do liceum, on do technikum elektronicznego... Po maturze założył sklep ze sprzętem RTV, biały budynek tuż koło centrum miasta. Przyszedłem wieczorem, gdy już zamykali – wiedziałem, że to najlepsza pora, by spokojnie pogadać z właścicielem.

– Słuchaj, jaki jest najmniejszy odtwarzacz muzyczny na rynku? – zagadnąłem Jack'a, gdy skończył podliczać zawartość kasy.

– Co, znudziła się muzyka poważna? – zachichotał. – Wiedziałem, że tak będzie. Z ciebie był zawsze rock-and-rollowiec! Spoko, mam wszystkie nowości. Zobacz, co Sony wypuściło! – wskazał stojącą przy ladzie gablotkę, gdzie na honorowym miejscu spoczywał jasnoczerwony aparacik, niewiele większy od kasy magnetofonowej.

– Mniejszego nie ma?

– Nie da rady – rozłożył ręce Jack. – Sprzęt nie może być mniejszy niż nośnik nagrań. Oczywiście, można by zrobić odtwarzacz na mini-kasety, ale po co? Nikt nie wydaje na nich muzyki, magnetofony stacjonarne też ich nie obsługują...

- A jakiś nowy nośnik?
- Masz na myśli kompakt? Droga nowość. Przenośny odtwarzacz w końcu do nich zrobią, ale będzie jeszcze większy od walkmana, inaczej płyta się nie zmieści...
- Nowszych wynalazków nie ma?
- Nie... To jest: czytałem, że w Japonii i Korei Południowej eksperymentują z pamięcią magnetyczną bez części ruchomych. Ma się zmieścić w pudełku od zapalek... Ale to sprawa przyszłości, technologia na dwudziesty pierwszy wiek!

Ze sklepu wyszedłem zupełnie skołowany. Na dwudziesty pierwszy wiek... A dlaczego ten Jerry mówił o „muzyce lat osiemdziesiątych”, a nie po prostu o „dzisiejszej muzyce”?! Skąd wie, które młodzieżowe zespoły przetrwają próbę czasu? Nie przewidział, że stukną mu samochód, więc prorokiem raczej nie jest...

Wtedy to przyszła mi do głowy myśl jeszcze bardziej fantastyczna. Tak szalona, że natychmiast ją odrzuciłem.

* * *

Później nie miałem czasu o tym rozmyślać. Przyszło Boże Narodzenie i Nowy Rok. Wraz z nimi – świąteczny chaos, od którego Kate, jak co roku, rozboliła głowa.

Za to Hollyanne bóle opuściły zupełnie! Doktor Redwick stwierdził, że „chyba już po strachu”, dziewczynka wyglądała jednak na przygaszoną. Przestała się uśmiechać, nabrała też zwyczaju patrzenia gdzieś w nieskończoność, donikąd. Czasem włączała sobie muzykę, przeważnie Chopina, lub brała którąś z jego partytur i patrzyła w ułożone na pięcioliniach nuty – wszystko to jednak bez ekscytacji, nawet bez szczególnego zainteresowania. Jakby próbowała zapomnieć o czymś, czego, zapytana, nie potrafiła lub nie chciała nazwać. Usiłowaliśmy z Kate rozweselić ją, lecz bezskutecznie. Nawet komplet chopinowskich nagrań Zimmermanna, leżący pod choinką, nie poprawił jej nastroju na długo. Jakby tego było mało, musiałem sfinalizować umowę z wydawcą płyty, dograć sprawę studia... W tym ferworze niemal zapominałem o Jerry'ym.

* * *

Piątego stycznia 1984 na lotnisku w pobliskim A. wsiałem z Hollyanne na pokład samolotu do Nowego Jorku. Taksówka, żółty chrysler, zawiozła nas przez oprószone śniegiem ulice do studia.

Było tam jeszcze ciszej niż sobie wyobrażałem. Czarne łby dwóch wielkich mikrofonów zwieszały się ze statywów nad pudłem otwartego steinwaya. Asystent realizatora grał pasaże akordów, by producent i dźwiękowiec, siedzący w reżyserce za dźwiękoszczelną szybą, mogli wszystko dokładnie ustawić. Nie wiem, czy któryś z nich spostrzegł, jak moja córka weszła na palcach do ich kłitki, przysłuchiwała się dźwiękom płynącym z umocowanych nad mik-serskim stołem głośników i w milczeniu kiwnęła głową. Przypuszczam, że zauważyli ją dopiero, gdy subtelnym ruchem odepchnęła dłonie asystenta od klawiatury i zajęła jego miejsce na okrągłym stołku.

– Chcesz zrobić próbę? – zapytał producent.

– Próbuję od miesiąca. – W głosie Hollyanne wyczułem odrobinę zniecierpliwienia. – Lepsza już nie będę. Nagrywajmy!

„Lepsza już nie będę”?! Tak mówią starzy artyści, a nie dzieci – nawet cudowne!

Dźwiękowiec włączył cyfrowy magnetofon; producent z niewyraźną miną powiedział: „Możesz zaczynać”.

Nieraz, jak już wiecie, przyglądałem się grającej Hollyanne, nigdy jednak wcześniej nie widziałem jej takiej, jak wtedy. Była maksymalnie skoncentrowana, jakby za pośrednictwem klawiszy chciała oddać czarnemu pudłu fortepianu całą energię tkwiącą w jej niepozornym jestestwie, nie tracąc ani odrobiny na poboczne myśli. Niby ptak lecący nad oceanem, frunęła majestatycznie przez kolejne utwory – bez przerw dłuższych niż potrzeba, by wybrzmiał metal strun, by wibracje opuściły drewno. Siedząc w reżyserce, widziałem twarze ekipy realizatorskiej – patrzyli z niedowierzaniem, jak płyta, na której nagrywanie zarezerwowano całe dwa dni, powstaje bez zatrzymywania taśmy, czy w ogóle dotykania urządzeń... Przypuszczam, że nic podobnego nie przydarzyło się dotąd nikomu w żadnym studiu – odkąd wymyślono montaż nagrań.

Skończyła grać. Na moment zamarła w bezruchu, patrząc nieprzytomnie przed siebie, jak gdyby wychodziła z hipnotycznego transu. Potem wstała i poszła do reżyserki, by wysłuchać zarejestrowanego materiału. Miała wątpliwości co do dwóch utworów; spytała, czy mogłaby je na wszelki wypadek powtórzyć. Znow ruszyła taśma i znow bez jej zatrzymywania Hollyanne przefrunęła przez te dwa utwory z jeszcze większą determinacją – ptak uciekający przed drapieżnikiem... Doszedłszy do siebie, odsłuchiwała nagranie i tym razem rezultat ją zadowolił, złożyła więc rozpostarte nad klawiaturą nuty, podziękowała technikom i wyszła ze mną na korytarz. Jej twarz ozdobił uśmiech tryumfu... i nagle zbladła.

Jej drżące dłonie dotknęły czoła i objęły je, zaciskając się kurczowo. Chwiejnym krokiem podeszła do ściany, oparła o nią głowę, osunęła się na kolana, skuliła na podobieństwo nienarodzonego dziecka... Można było pomyśleć, że wciśnięta w kąt chce zniknąć.

Ogarnąłem córkę ramionami, tak jakbym mógł ją zasłonić od bólu. Była rozpalona; czułem, jak tłucze się w niej serce.

– Tato... Jak boli... Jak strasznie boli... – szepnęła. – Tato, ja chyba już umrę...

* * *

Ambulans pędził na sygnale. Bezsilnie patrzyłem na wykrzywioną bólem twarz Hollyanne, leżącej na białych noszach. Z trudem, usiłując nie spaść z siedzenia na zakręcie, sięgnąłem do kieszeni po chusteczkę i otarłem nią pot z czoła córki.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem, zmuszając twarz do uśmiechu. Popatrzyła na mnie – w jej oczach spodziewałem się ujrzeć ból, błaganie o pomoc... ale dojrzałem coś innego. Niezrozumiałą dla mnie, niemożliwą do wytłumaczenia, śmiertelną trwogę.

– Podamy teraz środek przeciwbólowy – usłyszałem głos lekarza. – Powinien częściowo uśmierzyć ból.

Kątem oka zauważyłem pielęgniarkę przygotowującą zastrzyk. Skinięła na kierowcę, a gdy zwolnił, wstała i podeszła ze strzykawką do Hollyanne.

– Spokojnie, zaraz będzie lepiej – mówiła, podwijając rękaw jej swetra. – Postaram się, żeby nie bolało.

Dziewczynka przytaknęła, lecz w jej spojrzeniu nie widziałem aprobaty, jedynie smutną rezygnację... Nagle twarz mojej córki pojaśniała. W oczach znów zaświecił blask.

– Przestało boleć! – zawołała radośnie. – Jeszcze raz przestało!

* * *

– Ja naprawdę nic tu nie widzę – powtórzył lekarz, starszy jego-
mość o zmęczonej twarzy, patrząc pod światło na dwie wielkie klisze
rentgenowskie; jedna ukazywała czaszkę mojej córki z przodu, druga
z profilu. Siedzieliśmy po dwóch stronach biurka w niedużym gabine-
cie; Hollyanne kazano zaczekać na korytarzu. – Mówił pan, że dziew-
czynka miała już podobne ataki?

– Nigdy jeszcze ból nie był tak silny – odrzekłem powoli i dobitnie,
rozdzielając słowa. O wściekłość przypawali już mnie ci wszystko-
wiedzący lekarze. Dziecko cierpi, a oni „nic nie widzą”!

– Mówił pan jednak, że od świąt aż do teraz bóle nie powracały? –
Mężczyzna w białym fartuchu uśmiechnął się łagodnie, gdy, chcąc nie
chcąc, przytaknąłem. – To obala hipotezę lekarza rodzinnego o dzie-
cięcej migrenie. Mamy do czynienia z reakcją psychofizyczną na stres.
Córka miała wolne od szkoły, wypoczęła, mogła poświęcić się wyłącz-
nie grze na fortepianie, bóle przeszły. A dziś pierwszy raz nagrywała
płytkę w profesjonalnym studiu. To jak egzamin! Poradziła sobie, ale
potem stłumiony stres wybuchł...

– Panie doktorze, pan jej nie widział w święta! – przerwałem mu,
podnosząc mimowolnie głos. – W niej nie było radości. Ostatnio nic,
tylko siedzi smutna i patrzy przed siebie...

– Ach, o to niech pana głowa nie boli! – roześmiał się lekarz. – Na
córkach to ja się znam, wychowałem cztery – mrugnął do mnie. –
Wkrótce przyprowadzi panu do domu kolegę ze szkoły!

* * *

Samolot oderwał koła od pasa startowego. Byliśmy w drodze do
domu.

– Jak się czujesz? – zapytałem Hollyanne siedzącą w fotelu obok.
Rzuciła mi jedno bardzo smutne, wyblakłe spojrzenie.

– Tato, teraz już mogę umrzeć...

Popatrzyłem uważnie w jej jasnoniebieskie, niegdyś wesołe oczy. To nie był frazes zblazowanej artystki, ani nadęta poza czarno ubranej nastolatki. Moja córka mówiła poważnie.

* * *

Potem była już całkiem nie do życia. Gdyby nie kazać jej iść spać, zasypiałaby na siedząco. Gdyby nie polecić zmiany ubrania, wciąż nosiłaby jedno, pewnie nawet spałaby w nim. Gdyby nie kazano się umyć, chodziłaby brudna... Źle mówię – nie chodziłaby. Nie chodziła już nawet z kąta w kąta, czy przesiadając się z fotela na krzesło lub kanapę! Poza koniecznością odwiedzania łazienki, mogłaby spędzić cały dzień w jednym miejscu, nawet nie słuchając muzyki, ani nie przeglądając nut... Często zamykała oczy; trudno było zgadnąć, kiedy śpi, a kiedy nie.

Podobno w szkole zachowywała się identycznie. Wciąż nieobecna duchem, siedziała wgapiiona tablicę, czasem w ogóle nie reagując na pytania nauczycieli, a przeważnie reagując z opóźnieniem, jak obudzona ze snu... Opuściła się w nauce, ale jeszcze bardziej zaniepokoiło nauczycieli to, że przestała wychodzić na przerwy. Nawet dużą pauzę potrafiła przesiedzieć sama w klasie. Jeśli kazano jej opuścić salę – wychodziła na korytarz, siadała w kącie i aż do dzwonka trwała nieomal w bezruchu, nie reagując ani na przyjazne gesty, ani na zaczepki. Pewnego dnia dwóch dowcipnisiów ze starszej klasy za ręce, za nogi przeniosło Hollyanne o piętro wyżej. Ani ją to rozzłościło, ani rozbawiło – przesiedziała w nowym miejscu resztę przerwy, po czym wstała i wróciła na swoje piętro.

Ożywiła się jedynie, siadając do fortepianu – ale i to bez dawnego entuzjazmu. W szkole muzycznej odgrywała jak automat zadane ćwiczenia; w domu męczyła wciąż te same partytury Chopina. Szczególnie zapamiętała wracała do *Sonaty b-moll* i wówczas to apatia ustępowała miejsca furii. Szczupłe dłonie dziewczynki waliły w klawiaturę; myślałbyś, chciały roznieść czarne pudło instrumentu w drzazgi – aż mi się przypominał Jerry Lee Lewis... W jakimś zapamiętaniu gnała pośród dźwięków, migających jak pasy na autostradzie, w niepojętej ucieczce (ale przed czym lub przed kim?), aż po część trzecią – *Marsz żałobny*. Zwalniała wtedy aż do zupełnej rezygnacji, w której ciężko

stawiała dźwięk za dźwiękiem, jakby szła dokądś, gdzie bardzo nie chciała iść... I tak dochodziła do finalnego *Presto* – lawiny tonów, którymi usiłowała chyba przysypać i zmiażdżyć samą siebie, aby pod ich zwałami znaleźć wreszcie schronienie... Ostatni, wysoki dźwięk jeszcze wibrował pod uchyloną pokrywą wielkiego pudła, gdy dziewczynka powtórnie odpływała w swoją odrętwiałość.

Kiedys – sądząc, że usnęła; chcąc obudzić ją delikatnie i poradzić, by lepiej przeniosła się na łóżko – położyłem dłoń na jej ramieniu... Dygotała. Całym swym kruchym ciałem wibrowała jak rozedrgana rama fortepianu. Otworzyła oczy i milcząco przyjrzała mi się, jakby zaskoczyło ją, że może mnie jeszcze widzieć. Innym znów razem znaleźliśmy ją rano na podłodze naszej sypialni. Przyniosła ze swego pokoju poduszkę i kołdrę, niemalże wcisnęła się nam pod łóżko i tak usnęła. Obudzona, nie umiała wytłumaczyć swego zachowania.

Wielokrotnie rozmawiałem o niej z Kate. Byliśmy zgodni: Hollyanne w żadnym wypadku nie sprawiała wrażenia zakochanej, nawet nie-szczęśliwie. Wyglądała na przerażoną.

* * *

Tamtego dnia – była to sobota – od rana załatwiałem sprawy związane z wydaniem płyty. Kierownictwo wytwórni rozpływało się nad nagraniami Hollyanne, nie chcąc wierzyć, że wszystkie powstały w pierwszym lub drugim podejściu – sądono, iż nieudane wersje zostały po prostu skasowane. Zapięcie wszystkiego na ostatni guzik zajęło mi prawie dziesięć godzin.

Dopiero późnym popołudniem, z gardłem zdartym od ustawicznego telefonowania, doczłapałem poprzez ustającą śnieżycę do „For Example”. Jerry’ego zastałem przy mniej niż w połowie opróżnionym kuflu i znów ze słuchawkami na uszach.

– *Sonata b-moll* – odezwał się wyłączwszy swój tajemniczy odtwarzacz (tym razem ukryty w wewnętrznej kieszeni marynarki) – to protest Chopina przeciwko własnej śmierci. Część pierwsza ma rytm ucieczki... beznadziejnej. Drugą część wypełnia drżenie ze strachu przed nadchodzącą agonią. *Marsz żałobny* jest wyobrażeniem pogrze-

bu, a finał to już tylko kamienie i grudy ziemi dudniące o trumnę. I nie wiadomo, czy będzie ciąg dalszy...

Nim zdążyłem spytać, po co ten wykład, Jerry już kontynuował:

– Tętniak mózgu to paskudna sprawa. Najpierw po prostu sobie jest i tyle, jakby go nie było... Potem zaczynają się bóle głowy. Łatwo pomylić je z migrenowymi, a nawet z nerwobólami... Są nieregularne i coraz dotkliwsze. A tętniak sobie rośnie, rośnie... aż któregoś dnia pęka i następuje wylew. Chyba, że zrobi się operację. Ryzyko jest minimalne, zwłaszcza, gdy pacjent nie ma nic do stracenia...

O czym on mówił?! Nigdy nie zauważyłem, by interesowała go medycyna! Czyżby...

Włączony telewizor pokazywał kolejne zawody żużlowe, tym razem z Europy. Zawodnik na czarnym motocyklu pędził za liderem wyścigu, dosiadającym żółtej maszyny. Jessie, stojąca za barem, bardziej pochłaniało sportowe widowisko niż praca.

– Jeżeli postawiłaś na Orlanda Marinettiego – rzucił Jerry w jej stronę – to spokojnie, wygra! Przestań się denerwować! A propos, whisky nalewamy do szklanki, nie obok szklanki...

Jessie w odpowiedzi ze słodkim uśmiechem pokazała mu język, na co Jerry wyszczerzył się do niej niby rodowity potomek Draculi. Żadne z nich nie wyglądało na osobę chorą, której życie zagrażałoby niebezpieczeństwo. Może ktoś z rodziny?... Ale i wówczas nie byłoby im do śmiechu.

Jerry udał, że chce cisnąć w Jessie opróżnionym już kuflem, po czym znowu spoważniał.

– Z tętniakiem mózgu jest ten kłopot, że nie zawsze widać go na rentgenie. Czasem się schowa za kośćmi czaszki tak, że praktycznie go nie widać. Na szczęście teraz w najnowocześniejszych klinikach są już tomografy. One nie prześwietlają ciała na wylot, tylko warstwa po warstwie... Nic im nie umknie. A ty przecież możesz olać ubezpieczenie! Ze stoma tysiącami na koncie zrobisz badania wszędzie, nawet za granicą...

Wybuchłem głośnym śmiechem. Ach, więc to tak! Ale skąd mu coś takiego przyszło do głowy?!

– Jerry – wykrztusiłem – dzięki za troskę... ale mnie nic nie jest. Jeśli byłem ostatnio niewyraźny, to dlatego, że mam dużo pracy... Ale żadnych bólów głowy, naprawdę!

Spokojnie odczekał, aż przestanę się śmiać.

– Nie chodzi o ciebie – powiedział. – Chodzi o twoją córkę... o Hollyanne.

– Hollyanne?!

Chwycił mnie za ramię tak mocno, że czułem to jeszcze następnego dnia.

– Spiesz się – powiedział, patrząc mi błagalnie w oczy. – Masz tylko dwa miesiące. Pamiętaj, jak pogotowie zabrało ją ze studia?

– Skąd wiesz?!...

– Nieważne. Dziś będzie miała jeszcze silniejszy atak, aż straci przytomność. Następne będą słabsze, ale coraz częstsze. Dwudziestego marca Hollyanne zagra w siedzibie wytwórni mały koncert dla prasy, potem wyjdzie przez budynek... Chwyci ją potwornie silny ból głowy. Dziewczynka upadnie na chodnik, zwinie się w kłębek i tak umrze... Lekarz już tylko stwierdzi zgon. Jej nagranie na krótki czas trafi do odtwarzaczy większości nastolatków... Ale chyba nie takiej sławy chcesz dla córki?! Żeby dzieciaki przez chwilę posłuchały Chopina...

– Jerry, ale...

– Zrób wszystkie możliwe badania. Znajdą tętniak i być może jej pomogą.

Wydobył z kieszeni złożoną we czworo kartkę. Rozprostował ją – była jednostronnie zadrukowana czcionką podobną do gazetowej, w większości po łacinie.

– Tu wszystko masz opisane. Ja się nie znam, lekarz na pewno zrozumie. – Złożył kartkę i wcisnął mi ją do kieszeni. – A na razie idź do domu, idź! Ona teraz bardzo cię potrzebuje.

Prawie wypchnął mnie na ulicę.

W domu, ku mojemu zaskoczeniu, drzwi otworzył mi doktor Redwick. Był w płaszczu, najwyraźniej wychodził.

– Pańska córka zemdląła, ale już jest lepiej. Dziewczynka odzyskała przytomność, matka siedzi przy niej. Podejrzewam przemęczenie...

* * *

Hollyanne leży teraz w sąsiednim pokoju, chyba zasnęła. Od trzech dni jest w domu i odgraża się, że najdalej za tydzień usiądzie przy

fortepianie. Czarne pudło naszego steinwaya na nowo zabrzmia chopinowskimi akordami, lecz tylko ja wiem, jak mało brakło, by na Hollyanne czekało teraz całkiem inne pudło – również czarne.

Profesor medycyny, ordynator ultranowoczesnej kliniki w mieście W., początkowo wziął mnie za wariata. Dopiero gdy pokazałem wiadomą kartkę, stwierdził z podziwem, że to wydruk laserowy! Uznał, iż diagnozę specjalisty dysponującego takim sprzętem należy przynajmniej sprawdzić... Prześwietlił głowę mojej córki dziwnym aparatem, do którego pacjent wchodził jak do leżącej rury; potem jeszcze drugim, pokazującym różnokolorowy obraz naczyń krwionośnych... Znalazł tętniak dokładnie w opisanym na kartce miejscu. Szczęśliwie udało się go usunąć bez powikłań.

Nawet nie próbuję sobie wyobrazić tego, co przeszła Hollyanne. Swą dziecięcą intuicją przeczuwała śmierć i chciała przynajmniej pozostawić po sobie doskonałe nagranie, a gdy było gotowe, nie pozostało jej nic... Dobrze, że już po wszystkim. Znów jest wesoła, jak przedtem, nim zaczęły się bóle. Żartuje, że gdy zdejmie bandaże, z tą łąsą głową powinni ją przyjąć do Hare Krishna...

Jerry odwiedził nas niedawno. Przyprowadził z sobą Jessie, komunikując, że są zaręczeni – wypiliśmy z Kate ich zdrowie. Jerry poprosił Hollyanne o podpisanie nowiutkiego egzemplarza płyty, która przed dwoma tygodniami trafiła do sklepów.

Gdy wyszliśmy we dwóch na werandę – ja na papierosa, on na „łyk świeżego tlenu” – miałem tyle pytań... Odpowiedział tylko na jedno.

– Chcesz wiedzieć, czemu to zrobiłem? W rzeczach po matce znalazłem starą płytę i zeszyt z wycinkami z gazet. Posłuchałem, przejrzałem... Wniosek zasunął się sam. Tak utalentowane dziecko nie powinno skończyć w tak głupi sposób: przez błędną diagnozę lekarską!

Więcej go nie spotkałem, Jessie też nie. Najpewniej zabrał ją do swego świata, gdzie odtwarzacze muzyczne mają rozmiar pudełka zapalek, a drukarka laserowa – na pewno również zminiaturyzowana – stoi w co drugim domu...

Możliwe, że ja nie dożyję tych czasów. Ważne, że dożyje Hollyanne.

Spis treści

STRONA A:

Moja babcia Sally	5
Wypłakałem się w dżinsy J.	13
Czarny chevrolet	27
Jak farbki, jak kredki, jak kolorowe mazaki... ..	53

STRONA B:

Lekarstwo	63
Fido	77
Traktat o hotelach	93
Sonata b-moll	105



Amerika lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych to bardziej mit niż czas i miejsce, dokąd mógłby nas przenieść odpowiedni wehikuł /kiedy zostanie już wynaleziony/. Jednak nie zapominajmy, że kulturę kształtują głównie mity. Są żywotność potwierdzają co jakiś czas, powracając w muzyce, kinie czy modzie.

Pojazd, którym odbyłem swoją podróż, nie miał silnika ani kół. Składał się z podążającej w górę strzałki szybkościomierza, muzyki w radioodtwarzaczu i słów wystukiwanych na klawiaturze.

